

WSPOMNIENIA MŁODOŚCI

SŁUŻBA W LEGIONACH (FRAGMENT)¹

=====
Tadeusz Saryusz Bielski
Wybrał i wstępem poprzedził Andrzej Dróżdż

Kpt. Tadeusz Saryusz Bielski (1897-1973), oficer artylerii konnej, kawaler orderu *Virtuti Militari*, czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych za służbę w Legionach Polskich oraz za walki z Ukraińcami, Czechami i z bolszewikami, spisał swe wspomnienia z lat młodości podczas pobytu w niemieckim obozie jenieckim II C Woldenberg (obecnie Dobiegniewo), a ostatecznie uporządkował je w 1948 roku i w kilku niewielkich fragmentach opublikował w czasopismach emigracyjnych². Po siedemdziesięciu latach *Wspomnienia legionisty* wydobyte zostały z zapomnienia przez pracowników Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego z zamiarem przygotowania ich edycji z okazji 100-lecia odzyskania Niepodległości, gdy upamiętnia się wydarzenia związane z walką o granice Rzeczypospolitej. Na tle literatury wspomnieniowej autorstwa innych legionistów³ książka Tadeusza Bielskiego

¹ Edycja całości wspomnień Tadeusza Bielskiego jest przygotowywana do publikacji w ramach serii *Biblioteka Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego*.

² Wśród nich należy wymienić np. „Echo. Polski tygodnik niezależny”, „Wiadomości Polskie” oraz „Kombatanta w Australii”.

³ M.in. W. Solek, *Pamiętnik legionisty*, oprac., wstęp i przyp. W. Budzyński, Warszawa 1988; F. Skibiński, *Ułańska młodość. 1917-1939*, Warszawa 1989; J. Dunin Brzeziński, *Rotmistrz*

odznacza się w równym stopniu walorami dokumentacyjnymi, jak i szczególnie bogatą stylistyką, czym zasługuje na miano publikacji wyjątkowej.

Tadeusz Bielski urodził się w Schodnicy, nieopodal Borysławia, gdzie jego ojciec, przyszły rektor Akademii Górniczo-Hutniczej, pracował w spółce Wolski & Odrzywolski zajmującej się eksploatacją pokładów ropy naftowej. Wielka Wojna zaskoczyła rodzinę Bielskich w Bitkowie. Tam też, na krótko przed bitwą II Brygady Legionów Polskich pod Nadworną, inż. Zygmunt Bielski przyjął na kwatere ułanów ze szwadronu rtm. Zbigniewa Dunina Wąsowicza, a siedemnastoletni Tadeusz spontanicznie podjął decyzję o wstąpieniu do Legionów, na co zapewne wpływ miała patriotyczna tradycja rodzinna, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Tadeusz Bielski na krótko uległ perswazjom ojca i zgodził się, że warto wcześniej zdać maturę, tak więc dopiero we wrześniu 1915 r. zaciągnął się do Legionów, a po odbytych w Kaiser-Ebersdorf przeszkoleniu w Baterii Szkolnej, wyruszył miesiąc później na front w grupie 30 kanonierów. Pełną grozę bitewną poznał pod Kostuchniówką, choć najbardziej dramatyczne doświadczenia czekały go w wojnie z Rosją bolszewicką – wtedy też zakosztował sławy bohatera. Co więcej, żołnierze ułożyli pieśń o jego niezwykłym wyczynie bojowym pod Hutą Żaborzycką. Po pięciu latach służby został bezterminowo urlopowany z wojska. Z nie mniejszym powodzeniem radził sobie w cywilu – skończył studia na Politechnice Lwowskiej, założył rodzinę, był cenionym inżynierem naftowcem w Borysławsko-Drohobyckim Zagłębiu Naftowym. Zwieńczeniem jego kariery zawodowej był w 1939 r. awans na dyrektora technicznego Państwowej Fabryki Olejów Mineralnych „Polmin”, wówczas największej rafinerii ropy naftowej w Europie.

Wojna z Niemcami zniszczyła jego pozycję zawodową i osiągnięte szczęście rodzinne. W 1939 r. kpt. Tadeusz Bielski przeżył szlak bojowy 6 Dywizjonu Artylerii Konnej im. gen. Romana Sołtyka od bitwy nad Bzurą aż po walki na ulicach Warszawy. Złożył broń 28 września, broniąc do ostatniej chwili Pałacu Belwederskiego. Wojna, a po niej zmiany ustrojowe w Polsce zaciążyły na jego przyszłości i na przyszłości jego najbliższej rodziny, w następnych latach rozrzuconej po całym świecie.

Publikowany w tym miejscu fragment wspomnień Tadeusza Saryusza Bielskiego dotyczy początkowego okresu jego służby w Legionach Polskich. Znajdziemy w nim cenne obserwacje życia codziennego legionistów w koszarach i okopach, podczas przemarszów i w boju. W wybranym fragmencie znalazły się szczegółowe opisy szkolenia artylerzystów konnych, ich żmudnej pracy w stajni, przy koniach oraz przy budowaniu stanowisk artyleryjskich na froncie. Zawarte są w nim także

cenne dla historyka wojskowości charakterystyki kadry oficerskiej, podoficerskiej oraz nie mniej wartościowe portrety wielu żołnierzy, o których historia zapomniała, jak np. pisana w stylu gawędy żołnierskiej opowieść o uczuciowym przywiązaniu koniowodnego (woźnicy) Stanisława Andrasza do Walkirii i jej żrebaka. Ostatnie strony prezentowanego fragmentu zamyka zabawna anegdota o zatargu legionistów z por. Edmundem Knollem-Kownackim (późniejszym generałem brygady) z powodu warunkowego wstrzymania należnych im paczek świątecznych.

Tadeusz Bielski dzięki swym niepospolitym zdolnościom zapamiętywania opisał we *Wspomnieniach* zarówno fakty o znaczeniu zbiorowym, jak i drobiazgi z życia codziennego dotyczące indywidualnych zachowań, które z obecnej perspektywy wzbudzają zainteresowanie czytelnicze.

* * *

20 września 1915 roku pojawiłem się przed bramą koszar artylerii w Kaiser-Ebersdorf z samego rana, kwadrans przed szóstą. Koszary artylerii austriackiej, jeszcze nie do końca wykończone, były wielkie jak miasto, a na potrzeby wojenne już za ciasne, toteż od tyłu uzupełnione były drewnianymi barakami. W tych właśnie barakach gnieździła się Bateria Szkolna Legionów, niegodna zajęcia muroszy koszar „prawdziwego” wojska austriackiego.

Dziwne to było wojsko ta Bateria Szkolna Legionów pod Wiedniem, tak niepodobna do podobnych oddziałów austriackiego wojska, jak niepodobne były całe Legiony do tego wojska. Austriackie baterie szkolne, względnie kadrowe, miały z reguły za dowódcę starszego kapitana, który miał do pomocy czterech do pięciu młodszych oficerów. W naszej baterii komendant w stopniu podporucznika był jedynym oficerem, co symbolicznie oddawało stan naszego posiadania w korpusie oficerskim, ale – jak się miałem później przekonać – chociaż ilościowo byliśmy bardzo biedni, to jakością nadrabialiśmy braki kadrowe. Dowódcą Baterii Szkolnej był ppor. Roman Gliniecki. Był synem znanego w Krakowie rusznikarza, właściciela dużego składu broni. Miał około 25 lat. Podobno przed wojną coś studiował w Leoben na uniwersytecie i w Akademii Górniczej, ale niczego jeszcze nie skończył. Zresztą, dla jego kariery wojskowej było to bez znaczenia. Teraz od sześciu miesięcy był komendantem baterii szkolnej, i to komendantem nie byle jakim! Drżała przed nim cała bateria, a i Austriacy mieli przed nim respekt, bo też trzymał baterię żelazną ręką! Obecny był przy nas od rana do wieczora, jakby zdając sobie z tego sprawę, że sam musi pracować za czterech czy za pięciu oficerów, choć nie był tak całkiem pozbawiony pomocy. Przejściowo miał przydzielonego do pomocy chorążego Domańskiego i austriackiego kadeta

aspiranta o nazwisku Mrązek (Polak). Należeli oni jak gdyby do korpusu oficerskiego baterii, choć właściwie oficerami jeszcze nie byli.

Korpus podoficerski reprezentowali godnie ogniomistrz-szef Piwoński i podoficer zaprzęgowy, plut. Bergman. Mieliśmy też austriackiego kaprała, Buczyńskiego, Polaka, który był furażowym, i bombardiera Rafacza „do wszystkiego”. To była cała szarża. W baterii służyło od 100 do 120 kanonierów z bardzo zróżnicowanym statusem społecznym, od analfabetów do ludzi z akademickim wykształceniem. Byli tam i starzy żołnierze, to jest tacy, którzy służyli od początku wojny, a przy nich rekruci, tacy jak ja. Jednak z punktu widzenia wykształcenia artyleryjskiego wszyscy byli mniej więcej na jednym poziomie, gdyż tzw. starzy żołnierze, którzy patrzyli na nas, rekrutów, z bezgraniczną pogardą, byli przeważnie ludźmi, którzy pierwszy rok wojny spędzili w piechocie, a teraz, w związku z rozbudową w Legionach artylerii, przeszli do niej na ochotnika.

Moje przyjęcie do baterii nie odbiegało w zasadzie od schematu. Przyjął mnie pan ogniomistrz Piwoński, nie zniżając się do tego, aby ze mną porozmawiać. Obejrzał mnie tylko sceptycznym wzrokiem, zapytał, ile mam lat. Po chwili jednak zatrzymał wzrok na moich żółtych butach, które już miałem na nogach, potem popatrzył na mnie i spytał, ile kosztowały. Kiedy powiedziałem, że 100 koron, cmoknął ze zdziwienia. Potem napisał mi kartkę do magazynu na wydanie mi munduru. Żadnych innych rzeczy nie potrzebowałem, gdyż miałem wszystko swoje, jak z przekąsem stwierdził pan ogniomistrz. Również nie bardzo mu się podobało moje imię i nazwisko: Tadeusz Saryusz. Co tu właściwie jest imieniem, a co nazwiskiem!? To jakaś podejrzana sprawa! Kiedy wróciłem z magazynu z bluzą i pasem w rękę, przydzielił mi łóżko żelazne, w tym samym baraku, w którym sam spał.

Przebrałem się w luźną austriacką bluzę, która, gdyby nie pas, wisiałaby na mnie jak worek, ale kiedy ścisnąłem się pasem, nabrałem wyglądu podobnego do żołnierza i o siódmej godzinie wziąłem udział w normalnych zajęciach baterii szkolnej. Zajęcia te były następujące: musztra piesza, działoczniny, tj. ćwiczenia przy armatach, wykłady o sprzęcie artyleryjskim i o amunicji, jazda konna i wyjazdy baterią zaprzęgoną. Mieliśmy do dyspozycji do tych ćwiczeń 2 działa, 2 jaszczce⁴ i 40 koni. Przez środek stajni siedł korytarz, dzielący ją na dwie części w ten sposób, że po obu stronach stało po 10 koni. Jazda konna odbywała się w dwóch oddziałach. Jeden oddział jeździł na lonży, a drugi na ujeżdżalni. Na lonży oczywiście jeździli początkujący, a dopiero po nabraniu pewnej swobody ruchów na koniu przechodzili na jazdę na ujeżdżalni. Czas trwania przydziału do jazdy na lonży nie był określony i mógł trwać od tygodnia do paru miesięcy,

⁴ Jednoosiowy pojazd służący do przewożenia amunicji artyleryjskiej; był on podczepiany do przodka.

w zależności od postępów jeźdźca. Tak samo cały pobyt kanoniera w baterii szkolnej nie był określony, siedziało się tam od paru tygodni do kilku miesięcy. Wyjazdy z baterii szkolnej do baterii liniowych odbywały się co jakiś czas, w miarę zapotrzebowania żołnierzy przez kadrę artylerii w Jeżowie koło Piotrkowa, gdzie formowały się baterie frontowe.

Już w pierwszych dniach rozejrzałem się w otaczającym mnie towarzystwie i stwierdziłem, że jest całkiem sympatyczna paczka, do której można się dołączyć. Należało do niej trzech studentów politechniki w Liège, w Belgii, którzy przyjechali przez Szwajcarię, aby wstąpić do Legionów. Nazywali się Szczepański (pseudonim Cień), Racięcki i Mikiela. Wszyscy trzej byli Królewiakami w wieku między 20 a 24 rokiem życia. Był też student Politechniki Lwowskiej, Kowalik, i miły, młody maturzysta z Małopolski, nazwiskiem Staryszak. Do tej paczki należało wielu młodych inteligentów, ale nie sposób tu wszystkich wyliczać. Oczywiście wszyscy byliśmy prostymi żołnierzami i ani w służbie, ani w traktowaniu przez przełożonych nie było żadnych różnic. Nie nosiliśmy też żadnych odznak zewnętrznych na mundurze, jak to miało miejsce u tzw. „jednoroczników” w austriackim wojsku.

Mimo woli istniał jednak pomiędzy nami podział, polegający na różnicach w wykształceniu. Zresztą nie miał on charakteru podziału na dwa wrogie obozy, ale był po prostu czymś naturalnym. Obie grupy miały też swoich nieoficjalnych przywódców, którzy między swoimi wodzili rej. Przywódcą grupy inteligenckiej był student Kowalik, a grupy chłopskiej dorożkarz z Nowego Sącza o nazwisku Andrasz. Andrasz był świetnym typem górala podhalańskiego. Był od nas starszy, gdyż przed wojną służył trzy lata w austriackim wojsku, w taborach, przy „begleitskadronie”⁵, jak lubił powtarzać, ale kiedy przyszła wojna, zamiast iść do austriackiego wojska, poszedł do Legionów i z II Brygadą „przerobił” w piechocie całą kampanię karpacką. Na wiosnę 1915 roku został ranny na Bukowinie, a po wyleczeniu się w szpitalu przeszedł do artylerii. Mówił, że „zawdy te przy kuniach będzie lekcy, jak przy tej cholerskiej fanteryi”. Mimo że nie posiadał tegiej budowy, był silny i muskularny, wąski w biodrach i gibki, zręczny i zwinny. Miał orli nos, sterczący jak dziób z wygolonej, czerwonej twarzy. W każdej wolnej od służby chwili wyciągał z kieszeni małą góralską fajeczkę i pykał z niej z rozkoszą. Palił jakiś strasznie mocny tytoń, którym był cały przesiąknięty. Pałac, strzykał śliną przez zęby, trafiając, gdzie tylko chciał.

Poznałem Andrasza bliżej, gdyż spał w tym samym baraku co ja, a parę łóżek ode mnie. W kilka dni po moim przyjeździe do baterii usłyszałem świetną

⁵ Begleit-Eskadron (niem.) – szwadron zapasowy.

rozmowę Andrasza z jednym z jego towarzyszy na temat mojej osoby. Stałem w ustępie za przepierzeniem, gdzie nie byłem widoczny, kiedy wszedł Andrasz z jakimś innym kanonierem. Usłyszałem głos kanoniera:

– Andrasz! Widziałeś tego nowego? Jakie to buty ma!

– Ha! Piękne! – odpowiedział Andrasz, a po chwili dodał: – To jakisi chłopak z lepszego domu.

– Niby bez te buty? – spytał kanonier.

– Bez buty, ale i bez co insze – odparł Andrasz – przecie widzę, bo koło mnie śpi, to śpi pieron przez gaci i co dzień zęby myje.

Musiałem zacisnąć zęby, aby nie zdradzić, że słyszałem tę rozmowę, i nie zawstydząć Andrasza.

Tymczasem moje szkolenie nabierało rozpędu. Na lonży jeździłem tylko tydzień, po czym zostałem przydzielony na ujeżdżalnię. Było to dla mnie przyjemne wyróżnienie, gdyż takie prędkie przejście z lonży na ujeżdżalnię zdarzało się bardzo rzadko. Byłem z tego bardzo zadowolony, bo o ile jazda na ujeżdżalni była najprzyjemniejszą częścią obowiązkowych naszych zajęć, o tyle lonża nie była szczególnie przyjemna. Jeździło się tam wyłącznie bez strzemion, robiąc przy tym szereg ćwiczeń w stępie, klusie i galopie, jak przekładanie czapki na plecach z ręki do ręki, podrzucanie jej w górę i łapanie, nożyce, wołyżerkę itp. Ponieważ wszystkie te rzeczy robiłem od razu bez wysiłku (nie są one trudne, kiedy się ma 18 lat), więc po tygodniu uznano, że mogę przejść na ujeżdżalnię.

Muszę pieszą znałem dobrze z harcerstwa, karabin ze „Strzelca”, tylko armata była dla mnie nowością. Jak już wspomniałem, naszym instruktorem w sprawach artyleryjskich był austriacki kadetaspirant Mrązek. Wszyscyśmy go bardzo lubili, a i on odnosił się do nas bardzo życzliwie. Był to krakowiak, wesołego usposobienia i dziarski żołnierz, żalowaliśmy tylko, że służył w austriackim wojsku, a nie w Legionach. Wkrótce też pod jego okiem poznałem dokładnie austriackie działo polowe i umiałem je obsługiwać ze wszystkich stron. Po dwóch tygodniach wykonywałem całkiem dobrze wszystkie zadania przy armacie – nawet celowniczego, która to funkcja była najtrudniejsza i najbardziej odpowiedzialna. Swoją drogą, miałem ambicję bycia dobrym żołnierzem, a że zakres wymagań stawianych przed nami nie był zbyt wielki, tylko na potrzebę wyszkolenia prostych kanonierów, więc osiągnięcie tego poziomu nie było dla mnie trudne. Oślim mostem naszego wyszkolenia była natomiast obsługa koni.

Każdy kanonier musiał przejść przez czyszczenie koni, z czego egzaminem była czwartkowa „wizyta końska”. Jak wspomniałem, było u nas około 40 koni, część zaprzęgowych koni armatnich, a część koni wierzchowych. Konie zaprzęgowe były przydzielane na stałe kanonierom szkolonym na jezdnych – tj. tych

żołnierzy, którzy jadą na koniach ciągnących armaty. Na jednych byli dobierani przeważnie chłopci ze wsi, podczas gdy inteligenci szkoleni byli do obsługi armat. Jednak i spośród tych drugich byli wybierani żołnierze do czyszczenia koni wierzchowych, i to zgodnie z regułą, że każdy musiał zdać egzamin z czyszczenia. Po dwutygodniowej służbie dostałem „swego” konia do czyszczenia i obrządzania. Funkcja ta nie była łatwa ze względu na wielki rygor, jaki przy tym panował, a także wielkie wymagania zarówno naszych oficerów, jak i wyższych oficerów austriackich, którzy mieli prawo wstępu do naszych stajen.

Tok zajęć dla „koniarzy” był następujący: o godz. 5.30 – pojenie koni, następnie czyszczenie ich przez godzinę. Potem karmienie owsem, przy czym musiało się stać przy koniach, dopóki nie zjadły całego owsa, tak że trwało to prawie do siódmej. O 7.00 było śniadanie, składające się z porcji czarnej kawy (prawie litr) i suchego chleba. Potem było siodłanie i godzina jazdy konnej. Później jakieś ćwiczenia, a o 11.00 znów do stajni, na pojenie i karmienie. Po obiedzie, składającym się z zupy i kawałka mięsa wołowego, była godzina odpoczynku, a potem dalej ćwiczenia. Koniarze po południu mieli często zamiast ćwiczeń czyszczenie uprzęży i siodła, bo na czystość rzędu końskiego zwracano wielką uwagę. Strzemiona, wędzidła i mundsztuki⁶ musiały się błyszczeć, a były czyszczone i polerowane do połysku łańcuszkiem od mundsztuka, z reguły noszonego przez nas w kieszeniach, aby sam był zawsze czysty. Na mundsztuk zakładało się łańcuszek tylko na wyjazd albo na przegląd uprzęży. Wieczorem, przed karmieniem była znowu godzina czyszczenia koni, a po pojeniu i karmieniu szło się na kolację, na którą było to samo co na śniadanie, tj. czarna kawa i chleb. Na tym kończyła się służba dzienna.

Najcięższą pracą ze służby przy koniach był dyżur stajenny. Na każdą stajnię z dwudziestoma końmi było wyznaczonych po dwóch dyżurnych na dobę. Zmieniali się co sześć godzin, począwszy od szóstej. Głównym zadaniem dyżurnego było nie dopuścić, aby konie zawały albo, co gorsze, zamoczyły słomę, służącą za ściółkę. Austria w tym czasie bardzo oszczędzała na paszy i ściółce, toteż na tę rzecz zwracano wielką uwagę. Słoma na dzień była podgarniana pod żłób, a na noc ścieliło się ją pod całego konia, ale biada dyżurnemu, jeśli by koń ją zmoczył. Dyżurny musiał więc czuwać, mając w pogotowiu wiaderko na długim drążku, i patrzeć, czy który koń nie ma ochoty oddać moczu. Jeśli się widziało, że któryś koń się rozkracza, trzeba było natychmiast podstawić wiaderko, aby mocz nie poszedł na podłogę albo, co gorsze, na słomę. Niektóre konie były do tego tak przyzwyczajone, że po rozkraczeniu się czekały na podstawienie wiaderka,

⁶ Mundsztuk – rodzaj kielzna o mocniejszym oddziaływaniu na pysk konia niż wędzidło.

ale nie wszystkie były tak inteligentne i jeżeli dyżurny się zagapił, to mocz szedł na ziemię. Takie przestępstwo wydawało się bardzo łatwo, bo zachodził do stajni każdej nocy oficer inspekcyjny koszar i macał ręką słomę przy tylnych nogach konia i jeżeli słoma była mokra, to dyżurny szedł bezapelacyjnie do paki. Także nawozu nie mogło być na słomie. Świeży nawóz musiał być ze słomy natychmiast umiejętnie usunięty, tak aby słoma była jak najmniej powalana. Jak praktyka wykazała, najodpowiedniejszym przyrządem do tego celu były palce. Wsuwało się rękę pod słomę i lekkim ruchem strącało się nawóz na zewnątrz. W sumie, nie była to przyjemna służba. Szczególnie ciężka była zmiana od północy do szóstej rano. Chciało się wtedy strasznie spać, a tu należało patrzeć po ogonach, czy któremuś koniowi nie zachciewa się czegoś. Poza tym, jeśli stajnia była zamknięta, to na skutek asystowania z bliska, przy oddawaniu przez konia moczu, amoniak piekł w oczy do łez, a jeśli była otwarta, to robiło się zimno, gdyż był już październik. Na szczęście służba stajenna wypadła rzadko, a ja miałem ją tylko jeden raz.

Czwartkowa „wizyta końska” była niemal obrzędem. Podporucznik Gliniecki przeprowadzał ją osobiście, w asyście chor. Domańskiego i plut. Bergmana. Po przeprowadzeniu pojedynczego konia przed srogą komisję Gliniecki badał najpierw czyszczenie na bokach i zadzie konia. Potem rozchyłał włosy ogona, potem grzywy, potem szczegółowo koło uszu i pod pasami ogłowia. Wreszcie oglądał kopyta, kazał podnosić nogę i wachał strzałkę. Przy takich oględzinach zawsze 20-30 procent koni było uznanych za brudne. Delikwent dostawał doraźnie dwie godziny stania pod szablą, a potem czyścił konia przez dalszy tydzień, i tak do skutku, dopóki koń nie został uznany na przeglądzie za czystego. Ja czyściłem konia tylko przez jeden tydzień, tj. do jednego przeglądu, ale przez ten krótki czas poznałem dobrze, co to znaczy konia porządnie wyczyścić. A nie jest to łatwa rzecz! Wprost nie do wiary, ile to kurzu mieści się na grzbiecie, koło końskiego ogona albo na szyi, koło uszu, i wzdłuż grzywy. Wyczesanie łupieżu z grzywy końskiej to praca na wiele godzin! Oczywiście że przed przeglądem czyściło się konia o wiele dłużej, niż na to pozwalały wyznaczone do tego godziny. W przeddzień wizyty czyściło się go przez cały wieczór i zapowiadało nocnemu dyżurnemu, aby ostrożnie dawał siano i nie kurzył. Rano, w dzień przeglądu, wstawało się jeszcze po ciemku, aby wycesać grzywę i ogon. Myć wodą nie było wolno. Po wyczyszczeniu konia szczotką czyściło się go jeszcze miotełkami z jedliny, potem wycierało suchą szmatką flanelową, która zbierała z sierści ostatnie pyłki, a wreszcie przed samym wyprowadzeniem konia ze stajni przecierało się go jeszcze raz szmatką flanelową, lekko zwilżoną, która jeszcze raz zbierała resztę kurzu i dawała sierści właściwy połysk. Oczywiście kopyta były przedtem wymyte wodą

i szczotką, wytarte i nasmarowane tłuszczem. Nos i uszy były wewnątrz wytarte wilgotną szmatką. Dopiero tak przygotowany koń szedł na przegląd.

Napracowałem się potężnie nad moim pierwszym i ostatnim przeglądem w baterii szkolnej, ale po długim oglądaniu i wszelkich możliwych próbach mój gniadosz został uznany za czystego. Kamień spadł mi z serca, bo przyznaję, że ten przegląd był dla mnie trudną próbą, a miałem ambicję, aby sprostać zadaniu, a także nie chciałem być koniuchem zbyt długo. Przydział ten miał bowiem oprócz ciężkiej służby także i tę wadę, iż człowiek był tak przesiąknięty wonią stajni, że jak się nie miało drugiego munduru do kompletnego przebrania się, to człowiek nie mógł się pokazać między ludźmi, bo z daleka „jechało” od niego koniem. Było to dla mnie dość ważne.

Niezbyt często wychodziłem z koszar do miasta, gdyż w powszednie dni na jazdę do Wiednia było za późno, a w samym Ebersdorfie nie było co robić. Za to w niedzielę zawsze jechałem do Wiednia, do Rodziców. Raz nawet byliśmy z całą baterią w niedzielę na jakimś poranku patriotyczno-dobroczynnym w Wiedniu. Jeżeli natomiast ktoś z rodziny chciał mnie odwiedzić w ciągu tygodnia, to mógł przyjść do koszar codziennie po godzinie siedemnastej. Moja Matka po pierwszym widzeniu się ze mną orzekła, że moja bluza jest „niemożliwa”, mimo że była już nieco dopasowana do mojej figury przez koszarowego krawca i że według mego zdania była całkiem „możliwa”. Ponieważ Matka w sprawach ubrania zawsze miała głos decydujący, zamówiłem sobie u dobrego krawca nową bluzę na wzór strzeleckiej, z ładnego, cienkiego materiału, aby mieć już pierwszorzędny kompletny mundur na kolejną przepustkę. Oczywiście moim pierwszym wydatkiem były ostrogi, które jeszcze dodawały fasonu moim pięknym butom. Cały ten ekwipunek był przydatny w czasie mojej służby w baterii szkolnej, ale do służby żołnierskiej w polu wcale się nie nadawał i niedługo miał mi służyć.

Pod koniec czwartego tygodnia mojej służby w baterii szkolnej przyjechał z Kadry, przebywającej w Jeżowie pod Piotrkowem⁷, chor. Józef Beck (późniejszy polski minister spraw zagranicznych), aby zabrać trzydziestu wyszkolonych kanonierów do uzupełnienia 2 baterii Legionów, która kończyła się formować i miała w najbliższym czasie wyjść na front. Zrobił się wielki ruch w baterii, gdyż nikt nie wiedział, kto będzie wyznaczony, przy czym jedni chcieli jechać, a inni chętnie by zostali. Ja miałem wielką ochotę jechać, ale uważałem, że nie mam szans, gdyż zarówno wiekiem, jak i służbą byłem najmłodszym żołnierzem

⁷ Kadra Artylerii w Jeżowie, którą dowodził kpt. Mieczysław Jełowicki (Gałusiński), zajmowała się formowaniem pododdziałów na potrzeby I dywizjonu 1 Pułku Artylerii, wchodzącego w skład II Brygady. W Piotrkowie Trybunalskim i w przyległych wsiach rozlokowały się władze etapowe Legionów oraz Departament Wojskowy Naczelnego Komitetu Narodowego.

baterii. Przez całą dobę trwała niepewność i oczekiwanie. Podporucznik Gliniecki miał wyznaczyć kandydatów osobiście. Wreszcie, podczas codziennego apelu wieczornego, przy którym odczytywano rozkaz dzienny, ogniomistrz Piwoński odczytał listę wybranych do wyjazdu. Czytał powoli i wyraźnie, wymieniając stopień, imię i nazwisko. Słuchałem z zapartym tchem, licząc nazwiska na palcach. Pierwsza dziesiątka, nie ma mnie, druga – nie ma, dwudziestu pięciu – nie ma, aż wreszcie ogniomistrz czyta trzydzieste nazwisko: „kanonier Saryusz Tadeusz”. A więc jadę! Byłem ostatnim na liście! Widać z tego, że Gliniecki sam się zastanawiał, czy wysłać mnie, czy nie. Oczywiście można było wyznaczyć kogoś innego, byli tacy, którzy siedzieli w baterii po cztery miesiące, a ja byłem dopiero cztery tygodnie, ale co mi tam. Grunt, że jadę!

Byłem z tego bardzo zadowolony, a nawet pochlebiało mi to, że po tak krótkim okresie uznano, iż jestem już wystarczająco wyszkolony. Poza tym jechała sympatyczna paczka, złożona w większości z inteligentów. Jechał młody i wesoły Kazik Staryszak, student Kowalik i wielu innych. Spośród jezdnych jechał Andrasz, którego w międzyczasie polubiłem, gdyż był wesołym i szczerym chłopem. Wyjazd miał nastąpić na drugi dzień wieczorem i do tego czasu mieliśmy wolne, dla przygotowania się do wyjazdu. Zaraz po apelu pojechałem do Wiednia, aby zawiadomić Rodziców o moim wyjeździe. Ojca nie zastałem, gdyż gdzieś wyjechał. Była tylko Matka i Wanda. Matka próbowała mi perswadować, że to niesprawiedliwe, skoro jest tylu starszych, którzy powinni jechać przede mną, i że jutro pojedzie prosić Glinieckiego o zmianę decyzji, ale zaprotestowałem energicznie, gdyż uważałem to za wielkie skompromitowanie mnie. Wy tłumaczyłem jej, że jest to zupełnie naturalny bieg rzeczy i że nie na to szedłem do Legionów, aby spędzić wojnę w baterii szkolnej. Poprosiłem tylko o parę drobiazgów do zabrania, o przygotowanie ciepłej bielizny i wróciłem do koszar, godząc się jedynie, by Matka z Wandą przyjechały nazajutrz na dworzec północny, z którego mieliśmy wyjechać, abyśmy się mogli raz jeszcze pożegnać. Na drugi dzień, o godzinie czwartej po południu, żegnani przez ppor. Glinieckiego i całą pozostającą baterię, pomaszerowaliśmy na dworzec. Tam czekały już Matka i Wanda z przygotowanymi dla mnie dwiema wielkimi pakami żywności i bielizny. Na peronie było dosyć dużo osób, bo prawie każdy miał w Wiedniu kogoś, kto przyszedł go pożegnać. Spacerował też po peronie chor. Beck. W pewnej chwili, całkiem niespodziewanie dla mnie, podeszła do niego moja Matka i pokazując mi oczyma, coś mu mówiła. Beck uśmiechał się uprzejmie i kiwał głową z aprobatą. Byłem wściekły, bo uważałem, że Matka robi mi wstyd i kompromituje mnie jako żołnierza, prosząc Becka o opiekę nade mną, bo było jasne, że o to jej chodziło, ale nie mogłem Matce robić zbyt wielkich wyrzutów, aby jej nie zatruwać tej chwili, tak bardzo

dla niej bolesnej. Ja natomiast byłem w świetnym humorze i nie umiałem tego ukryć. Wreszcie nastąpiła chwila pożegnania. Matka płakała na dobre, Wanda ocierała łzy, a ja – mimo że na ogół byłem dość wrażliwy – nie mogłem wycisnąć ani jednej łezki. Matce i siostrze nie można było się dziwić, bo przecież jechałem na wojnę, a nie na wesele.

Podróż do Piotrkowa trwała prawie dwie doby. Tam bateria została zakwaterowana w jakimś czworaku, gdzie spaliśmy na słomie. Bateria była już niemal skompletowana ze starszych niż my artylerzystów, toteż nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Nazajutrz byliśmy przedstawieni dowódcy baterii, por. Łapickiemu (starszemu). Staliśmy ustawieni w szereg i każdy po kolei meldował się u porucznika. Patrzył na nas krytycznym wzrokiem, potem pomówił coś na stronie z ogniomistrzem, wreszcie wydał krótki wyrok: „Na woźniców taborowych!”. Spadło to na nas jak grom!

Każdy z nas był doskonale wyszkolony jako artylerzysta w obsłudze dział i w jeździe konnej. Większość z naszej trzydziestki stanowili akademicy albo maturzyści, a tu mieliśmy być woźnicami taborowymi, wozić prowiant lub furaz małymi konikami taborowymi. Było to dla nas straszne rozczarowanie i cios dla naszego nastawienia ideowego. Byliśmy żołnierzami ochotnikami, którzy chcieli walczyć, a przez walkę każdy rozumiał strzelanie z karabinu, z armaty, czyli to wszystko, co należy do bezpośredniego działania bojowego. Oczywiście potrzebni są w oddziałach kucharze, ordynansi i woźnice taborowi, ale – zgodnie z zasadą: „właściwy człowiek na właściwym miejscu” – jako woźnica taborowy czułby się dużo lepiej chłop ze wsi niż student politechniki, gdyż jadąc wozem taborowym, przypominałby sobie jazdę na wsi wozem ojcowskim. Na usprawiedliwienie naszego dowódcy baterii muszę jednak powiedzieć, że tych chłopów ze wsi było w Legionach mało, a szczególnie mało było ich w artylerii, toteż przyjęliśmy ten przydział jako dopust Boży i choć szemraliśmy między sobą, uznaliśmy zgodnie, że nie ma rady – musimy być woźnicami taborowymi. Na nasze szczęście okazało się, że bateria miała za mało wozów taborowych i koni, a ich uzupełnienie nastąpiło dopiero w Kowlu, dokąd bateria niebawem wyjechała.

Na razie więc byliśmy bez funkcji. Wykorzystywano nas na posyłki, do pełnienia warty, do pomocy w kuchni, do obierania ziemniaków, do rąbania drewna. Jednym słowem, byliśmy „ciurami obozowymi”.

Przy naszej 2 baterii stacjonowało również dowództwo I dywizjonu, na czele z kpt. Jełowickim. Był to bardzo elegancki mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Wydawał się nam figurą tak wysoką i niedostępną, że rozmowa z nim równałaby się rozmowie z naczelnym wodzem armii. Po trzech dniach bateria i dowództwo dywizjonu wymaszerowały do Piotrkowa, gdzie czekał na nas pociąg.

Był bardzo długi, miał około stu wagonów. Oficerowie mieli osobny wagon 1 i 2 klasy. Kpt. Jełowicki odznaczał się między nimi wytwornością postaci i wciętym mundurem, w którym miał figurę jak panna. Chodził w krótkim kożusku ułańskim, z czarnymi rabatami i srebrnymi sznurami. Widywałem go często, jak chodził wzdłuż pociągu od swego wagonu do wagonów końskich, gdzie stał jego koń karogniady, rumak reprezentacyjny, wspaniały niczym koń generalski. Kapi-tan nosił mu cukier i odwiedzał go przy każdym dłuższym postoju.

My, ludzie bez przydziału, jechaliśmy wagonem osobowym 3 klasy, gdzie było nam ciasno i niewygodnie, ale cieplej niż w wagonie towarowym. Był już koniec października i pojawiły się już przymrozki. Nasza podróż do Kowla powinna była trwać nie więcej niż jeden dzień albo dobę, ale przeciągnęła się znacznie dłużej. W Skarżysku utknęliśmy z powodu uszkodzenia mostu na Wiśle. Uszkodzenie to miało być w ciągu 2-3 dni usunięte, a nas tymczasem odstawiono na ślepy tor, poza stacją, i kazano czekać. Nudziliśmy się beznadziejnie. Przepustek na miasto nam nie dawano – pod pretekstem, że pociąg w każdej chwili może ruszyć. Ale nasi oficerowie, lepiej od nas poinformowani, chodzili do miasta i porobili nawet tak interesujące znajomości, że jeden z nich, ppor. Frank-Wiszniewski, chłop jak lala, zdążył się zakochać, a wobec tego, że postój nasz przedłużył się do tygodnia, nawet się zaręczył, i to nie na żarty, bo ożenił się jeszcze podczas wojny i był bardzo szczęśliwy (w maju 1926 roku zginął jako major w walkach ulicznych w Warszawie).

Po tygodniu okazało się, że most na Wiśle nie będzie tak prędko gotowy, wobec tego postanowiono puścić nas okrężną drogą. Mieliśmy jechać przez Tarnobrzeg, Tarnów, Jarosław, Rawę Ruską, Sokal, Włodzimierz Wołyński do Kowla. Cieszyliśmy się tym, gdyż mieliśmy jechać przez Małopolskę, z której większość z nas pochodziła, i niejeden liczył na to, że zobaczy kogoś ze swoich bliskich. W Jarosławiu braliśmy furaż na parę dni. Było do noszenia kilkadziesiąt worków owsa, każdy wagi 75 kg. Zaszczyt przyniesienia ich otrzymaliśmy oczywiście my, ciury. Wtedy poznałem po raz pierwszy, co to znaczy nieść na plecach 75-kilogramowy worek ponad 100 metrów. A trzeba było obrócić parę razy i spieszyć się, bo czasu było mało. Dało nam to porządną szkołę.

W Sokalu zatrzymaliśmy się na parę godzin i dostaliśmy przepustki do miasta. Byłem przewodnikiem dla kolegów, gdyż dopiero przed dwoma laty moja Rodzina wyprowadziła się z tego miasta. Ostatecznie po podróży, która trwała około 10 dni, dobiliśmy szczęśliwie do Kowla. Tu czekały na nas już rozkazy z Komen-dy Legionów, ale takie, jakich nikt się nie spodziewał. Przede wszystkim czekała na nas żandarmeria polowa, aby zaaresztować ni mniej ni więcej tylko samego kpt. Jełowickiego. Okazało się bowiem, że ten pan nigdy nie był oficerem, nie

miał w ogóle cenzusu oficerskiego, a gwiazdki sobie naszył na podstawie jakichś fałszywych papierów, których fałszywość właśnie wyszła na jaw. Został oddany pod sąd polowy i w krótkim czasie zdegradowany. Widywałem go po wojnie we Lwowie jako ogniomistrza.

Drugą rewelacyjną wiadomością było to, że bateria nasza ma być rozformowana, a ludzie, konie i działa mają być wykorzystani do uzupełnienia istniejących już baterii frontowych, względnie do baterii konnej, która ma się formować z plutonu artylerii konnej, działającego przy pułku ułanów „Beliny”. Sprawa była tak dalece przygotowana, że podobnie jak zabrano wprost z pociągu kpt. Jełowickiego, tak samo miano porozdzielać baterię z pociągu i odpowiednie grupy ludzi oraz sprzętu porozsyłać do odpowiednich oddziałów. Oddziały te przysyłały na dworzec swoich oficerów, względnie starszych podoficerów, i wkrótce po przybyciu pociągu zaczął się dość chaotyczny werbunek ludzi do różnych oddziałów, było bowiem powiedziane, ilu ludzi ma dostać dany oddział, ale nie zostało powiedziane których.

Z baterii konnej przybył na stację ogniomistrz Jan Wąsowicz – ten właśnie, który był synem pani Wąsowiczowej, mieszkającej z moimi Rodzicami w Wiedniu, i który miał się mną zająć, a obecnie miał już wiadomość o mnie od swojej matki. Toteż Janek (tak go odtąd będę nazywał) zaraz dopytał się o mnie i serdecznie się ze mną przywitał, wycałowawszy mnie w oba policzki. Byłem tym przywitaniem bardzo mile zdziwiony, bo Janka znałem bardzo mało, widziałem go tylko bardzo krótko w czasie jego dwudniowego pobytu w Wiedniu, poza tym bardzo mi pochlebiało, że sam pan ogniomistrz przywitał się ze mną tak serdecznie, czego się wcale nie spodziewałem. Oczywiście zostałem przydzielony do jego baterii konnej. Niezależnie od tego, że służył w niej Janek, który – jak mogłem przypuszczać – tym razem uratuje mnie od funkcji woźnicy taborowego, służba w baterii konnej bardzo mnie nęciła. Gdy nas rozmieszczono na przysłanych wozach, pojechaliśmy do koszar. Tak się złożyło, że prawie cała nasza trzydziestka z wiedeńskiej baterii szkolnej znalazła się w tej baterii.

Koszary były za miastem i zajmowały dawne koszary kozackie. Składały się z dwóch wielkich, ale lichych, drewnianych parterowych budynków, z których jeden był budynkiem mieszkalnym o jednej, wielkiej sali, na której spała cała bateria, a drugi był stajnią. Żadnych dodatkowych budynków nie było. Oficerowie mieszkali w prywatnych kwaterach, w okolicy koszar. Zaraz po przybyciu do koszar odbyło się badanie naszych kwalifikacji i przydzielanie nam funkcji, gdyż rejon zakwaterowania na sali były w ten sposób podzielone, że każda grupa spała w osobnym kącie sali, osobno zwiadowcy i telefoniści, obsługa dział, jezdni, woźnice taborowi i rzemieślnicy.

Ja zostałem przydzielony do obsługi pierwszego działła, a więc stało się zadość mojemu marzeniu. Dostałem tę najwłaściwszą funkcję kanoniera, jaką jest obsługa armaty. Co prawda, nie poszło to tak gładko i gdyby nie protekcja Janka Wąsowicza, nie dostałbym przydziału do armaty, gdyż działonowi, tj. kaprale komendanci armat, wybierali sobie do obsługi co najtęższych chłopów, a ja byłem szczupły i nie wyglądałem na Herkulesa. Toteż mój przydział do pierwszej armaty nastąpił na wyraźny rozkaz Janka, który był dowódcą I plutonu i mógł decydować o tym, kogo bierze do siebie.

Formowanie plutonu artylerii konnej, który był zawiązkiem naszej baterii, zaczęło się od tego, że przeniesiono do tego plutonu część ludzi z pułku ułanów „Beliny”, a część z pułku artylerii. Tak się złożyło, że beliniacy, których było kilkunastu, od razu nadali ton w baterii i – jeśli można tak powiedzieć – stanowili w niej klasę rządzącą. Złożyły się na to różne okoliczności, a przede wszystkim to, że dowódca baterii, por. Edmund Knoll (pseudonim „Kownacki”, późniejszy generał), początkowo też był beliniakiem. Posiadali oni prawie wszystkie szarże w baterii. Jako usprawiedliwienie tego faktu trzeba przyznać, że między nimi wielu było byłymi artylerzystami, służącymi przed wojną w rosyjskim wojsku. Dotyczyło to przede wszystkim por. „Kownackiego” i ogniomistrza Wąsowicza, którzy byli rosyjskimi oficerami rezerwy artylerii.

Oficerów w baterii było tylko dwóch, tj. dowódca, por. „Kownacki”, i jego zastępca, ppor. Antoni Trzaska-Durski (późniejszy dowódca 1 Pułku Szwoleżerów). Durski był synem austriackiego generała, dowódcy II Brygady Legionów w latach 1914-1915. Miał wtedy nie więcej niż dwadzieścia lat, a wyglądał na jeszcze młodszego. Ukończył austriacką artyleryjską akademię wojskową w Mödling, więc wykształceniem wojskowym wszystkich przewyższał. Poza tym był wybitnie przystojny i elegancki, nie kłął nigdy i nawet dla żołnierzy był grzeczny i uprzejmy. Dowódcą I plutonu był, jak już wspomniałem, Janek Wąsowicz, który – mimo że nie był jeszcze oficerem – korzystał z oficerskiego przywileju mieszkania poza koszarami i był traktowany jak oficer. Szefem baterii był beliniak, ziemianin z Kongresówki, ogniomistrz „Jastrzębiec” (pseudonim). Właściwie nazywał się Machczyński. Był surowy i wymagający, kłął ludzi i budził ogólny postrach. Nie był w baterii lubiany. Dowódcą II plutonu był ogniomistrz Eugeniusz Mięśowicz, syn zegarmistrza z Krosna. Mieszkał jeszcze na sali i nie był traktowany na prawach oficera, mimo że miał maturę. Mięśowicz był miłym, wesołym i dowcipnym chłopcem, ogólnie lubianym (zginął w randze majora podczas walk na ulicach Warszawy w 1926 roku).

Naszym działonowym był kapral Józef Kłosowicz. Nazwa działonowego wymaga wyjaśnienia. Jest to nazwa, która w Legionach nie była znana, ale została

wprowadzona dopiero później w wojsku polskim. Działon obejmuje armatę, jaszcz, dwa przodki⁸, zaprzęgi do nich, całą obsługę i w konnej baterii także konie obsługi. W Legionach działon nazywało się po prostu armatą, rozumiejąc przez to cały działon, a nie samo działo. Otóż komendantem pierwszej armaty był Józef Kłosowicz. Był to chłop spod Kielc, drobny rolnik, niewiele się nagospodarował na roli. Miał jakieś 26-27 lat. Przed wojną cztery lata służył w rosyjskich dragonach, ostatni rok przesiedział w domu, a potem, kiedy wojna wybuchła i legioniści doszli do Kielc, zgłosił się do ułanów „Beliny” i przesłużył tam rok, po czym został odkomenderowany do plutonu artylerii konnej. Kłosowicz był kapralem i miał wszystkie wady i zalety podoficera zrobionego z prostego chłopca. Decydującą rzeczą było jednak to, że Kłosowicz – choć niewątpliwie doskonały żołnierz – dla nas, podległych mu kanonierów, nie zawsze był przyjemny. Rozumieliśmy konieczność dyscypliny wojskowej, ale inteligentny żołnierz ideowy rozumie ją zawsze inaczej niż chłop, który dostał do ręki władzę. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby nasz działonowy znęcał się nad nami, ale jego ręka trochę nam ciążyła.

Kłosowicz rozumiał dyscyplinę jako ślepe wykonanie rozkazów, bez wahania i bez dyskusji. Prawdę mówiąc, jest to jedyny i właściwy punkt widzenia żołnierza, dlatego – jak to dość wcześniej stwierdziłem, a szczególnie później, kiedy sam byłem oficerem – najlepszym żołnierzem jest prosty chłop, gdyż inteligent odnosi się zawsze do wszystkich rozkazów krytycznie i zastanawia się, dlaczego tak, a nie inaczej, i że według jego zdania byłoby lepiej zrobić to właśnie inaczej, niż brzmiał rozkaz. W rosyjskich dragonach Kłosowiczowi tak wbito w głowę, że żołnierz ma milczeć i ślepo słuchać, iż nie wyobrażał sobie, aby mogło być inaczej. Na przykład Kłosowicz zarządził w swojej armacie trzepanie koców. Jeżeli w pół godziny potem przyszedł któryś z oficerów i zarządził trzepanie koców, Kłosowicz sprężył się, wołał: „Rozkaz, panie poruczniku!” i natychmiast wypędzał nas do trzepania dopiero co wytrzepanych koców. Kiedy mówiliśmy mu potem, że można było zameldować, że koce zostały właśnie wytrzepane, Kłosowicz był bardzo niezadowolony i wpadał w zły humor, gdyż taka myśl nie przyszłaby mu nigdy do głowy. Mimo to lubiliśmy, a nawet szanowaliśmy naszego kaprała, gdyż musieliśmy uznać w nim dobrego żołnierza, a poza tym widzieliśmy w nim także dobrego człowieka. Jeżeli było coś do zrobienia, to Kłosowicz nie tylko nas napędzał, ale i sam to robił, nie żałując sił. Jeżeli po ćwiczeniach w błotnistym terenie – a w listopadzie wszędzie jest błoto – trzeba było umyć działo, jaszcz

⁸ Przodkiem nazywano jednoosiowy wóz, do którego podczepiano działo. Kiedy działon podjeżdżał na stanowisko ogniowe, armatę odczepiano, zaś przodek odjeżdżał do tyłu. W przypadku lekkich dział na przodku przewożono również podręczny zapas amunicji. W wypadku ciężkiej artylerii zapas ten przewożono na jaszczu.

i przodki zabłocone po sam wierzch, to nasz kapral nosił wodę i szorował koła na równi z każdym z nas. Jeżeli trzeba było unieść w rękach jedną stronę armaty, aby zdjąć koło i nasmarować oś, to nikt się tak szczerze nie przysadzał do podniesienia armaty jak Kłosowicz. To musieliśmy uznać!

Kiedy zostałem przydzielony do pierwszej armaty, Kłosowicz popatrzył krytycznie na moją postać. Nie miałem szerokich barów ani potężnych łąp. Można być pewnym, że Kłosowicz nigdy nie wybrałby mnie do swego działu, ale z wyborem Wąsowicza musiał się pogodzić. Nie przydzielił mnie jednak do bezpośredniej obsługi armaty, ale dał mi funkcję koniowodnego, czyli żołnierza, który w czasie strzelania trzyma do obsługi konie wierzchowe. Nie była to funkcja zaszczytna i w bateriach konnych, w których służą żołnierze z poboru, proste chłopcy, wybiera się na koniowodnych najgłupszych kanonierów, ale nie protestowałem. Rozumiałem, że dostanie się do prawdziwej obsługi trzeba okupić jakimiś ofiarami. Poza tym byłem już blisko. Od koniowodnego do obsługi był już tylko krok. Postanowiłem niczym się nie zrażać i jak najlepiej spełniać swoje obowiązki.

Na drugi dzień po przyjeździe do baterii każdy z kanonierów, zarówno z obsługi, jak i koniowodnych, dostał konia wierzchowego i siodło. Dla mnie była to wielka przyjemność. Mój koń był zapuszczonym, kudłatym mierzynem, ale lekkiego typu, niezłego ruchu i, jak się to mówi, był „wesoły”. Wziąłem się ostro do doprowadzenia go do porządku, także wszyscy ludzie z naszej armaty zajęli się swoimi końmi, a zebrała się tu wcale niezła paczka, z którą miałem spędzić w ścisłym koleżeństwie prawie dwa lata, więc opiszę ją trochę bliżej.

Do jednego działu należało 16 ludzi i 22 konie. Pierwszą osobą był oczywiście działonowy, czyli komendant armaty, kapral Kłosowicz, którego już bliżej opisałem. Dalej szło sześciu ludzi właściwej obsługi działu i do tego trzech koniowodnych, a na koniec trzech jezdnych, po trzech do działu i trzech do jaszczu. Obsługa podzielona była według regulaminu austriackiego na numery od 1 do 6, z których każdy miał swoją funkcję.

Numer 1 był celowniczym, 2 – kierowniczym, 3 – ładowniczym, 4 – zamkowym, 5 – skalowniczym, 6 – wręczycielem. Numer 1, tj. celowniczy, był oczywiście pierwszą osobą po działonowym. Był on zazwyczaj starszym żołnierzem (bombardierem, ale ta nazwa nie była znana w Legionach), a czasem nawet kapralem. W naszej armacie celowniczym był Ludwik Ciba. Była to ciekawa postać. Był synem młynarza z Jaszczwi pod Krosnem, miał 20 lat i był studentem uniwersytetu krakowskiego. Zdał maturę rok przed wojną, był więc rok na uniwersytecie. Z tego studiował przez pół roku medycynę, a przez drugie pół – prawo. Był zagorzałym socjalistą, ale że większość młodzieży w Legionach była lewicowych

przekonań, więc jednało mu to dużo sympatii. Był zdolny, wesoły, dowcipny (przycinki!) i wygadany, pierwszy do pijatyki i do zabawy. Był doskonałym celowniczym. Żaden z celowniczych w baterii nie mógł mu dorównać w szybkości nastawiania przyrządów celowniczych. Toteż Kłosowicz w czasie ćwiczeń z dumą podnosił do góry rękę i wołał: „Pierwsza gotowa!” (armata). Ciba był niezrównany w opowiadaniu kawałów ze swego życia i czy opowiadał o weselu, czy o pogrzebie – o wszystkim potrafił mówić na wesoło.

Opowiadał na przykład, jak to się stało, że mimo wstąpienia w 1914 roku w sierpniu w Oleandrach w Krakowie do Legionów do piechoty, potem znalazł się w artylerii. „Pewnego wieczoru – powiada Ciba – nasz kompanijny (dowódca kompanii) mówi: Chłopcy, który chciałby przejść do artylerii, to może się zgłosić na ochotnika. Piechury spojrzeli po sobie i jakoś żaden się nie kwapił. Armaty tak głośno strzelają, że bębunki pękają, nie ma sensu iść – powiada jeden. Konie gryzą i kopia – mówi drugi. Ja stałem i namyślałem się, wreszcie zwróciłem się do kucharza i pytam: Obywatelu, co u nas dziś na kolację? – Czarna kawa i chleb – odpowiada kucharz. Wtedy zwróciłem się do dwóch kanonierów, którzy przyszli z artylerii, aby odprowadzić ochotników i pytam: – Obywatele kanonierzy, co u was dziś na kolację? Kasza ze słoniną, odpowiada jeden z kanonierów. – Idę do artylerii – zdecydowałem bez wahania i w ten sposób zostałem artylerzystą, i nie żałuję tego”. Ciba pociągnął za sobą z piechoty całą paczkę ludzi, którzy zostali wkrótce dzielnymi artylerzystami. W armii polskiej Ciba należał do wybitnych artylerzystów, skończył jako jeden z pierwszych wyższą szkołę wojenną, a jako 30-letni major był już jej wykładowcą. Byłby niewątpliwie zrobił karierę wojskową i „poszedł w generały”, gdyby nie to, że przedwczesna śmierć zabrała go w 43. roku życia jako pułkownika, dowódcę 6 Pułku Artylerii Ciężkiej we Lwowie. Na razie jednak Ciba jest starszym kanonierem i duszą pierwszej armaty. Jeździ na pięknej złotej kasztance Wiśce.

Numerem 2 był Zygmunt Gręplowski, syn rzeźnika z Dobczyc pod Krakowem, i sam przyszły rzeźnik. Był średniego wzrostu, ale miał bary jak piec i łapy jak łopaty. Kłosowicz od razu go wypatrzył między nowo przybyłymi i ściągnął go do pierwszej armaty. Zadaniem numeru 2, czyli kierowniczego, było przygotować armatę do strzelania, czyli nadrzucić łoża armaty, by lufa patrzyła z grubsza w kierunku strzału. Łoże jest ciężkie, a po strzale zostaje z reguły zaryte głęboko w ziemię i trzeba siły, aby je ruszyć, ale dla Gręplowskiego była to fraszka! W jego potężnych łapach armata po prostu fruwała! Opowiadając o swojej rodzinie, Gręplowski – nie wiem dlaczego – nazywał swego ojca „siajat”. Od tego czasu nazywaliśmy go „Siajat” albo „Grępel”. Jak zazwyczaj bywa w przypadku silnych ludzi, był łagodnego usposobienia, ale jak było trzeba pracować, to orał jak koń.

Uwielbiał Cibę, który mu imponował swoim wygadaniem i ciętością języka, gdyż Grępel, choć mówił prędko, zaciągając z krakowska, był mało wymowny. Szczególnie kiedy się zirytował, to gadał tak szybko, aż by się zapluł, ale nie umiał wyjaśnić, o co mu idzie, a przede wszystkim nie potrafił się odciąć.

Numerem 3, czyli ładowniczym, był kanonier Konopacki, 18-letni chłopiec z Małopolski, mający 6 klas gimnazjalnych. Był zręczny, silny, bystry i dobrze jeździł konno. Służył od 1914 roku, toteż był trochę zarozumiały. Do jego obowiązków należało ładowanie armaty, a po wystrzale zanoszenie łuski do jaszczu.

Numerem 4, czyli zamkowym, był kan. Włodek Dżisiewski. Służył pod pseudonimem „Włodek”, ale wiedzieliśmy, że jego prawdziwe nazwisko jest Dżisiewski. Był uczniem ósmej klasy gimnazjalnej w Kielcach. Wstąpił do ułanów „Beliny” w 1914 roku, po zdobyciu Kielc. Do baterii konnej przyszedł razem z paczką beliniaków, wobec czego uważał się za coś lepszego. Był mały i drobny, ale silny, bardzo czupurny i pewny siebie, ale dobry towarzysz, koleżeński i wesoły. Podczas strzelania Włodek siedział na siodełku, koło lufy, otwierał i zamykał zamek, odpalał przy strzale, a przy celowaniu zgrywał odpowiednim pokrętełm poprzeczną poziomice. Był odpowiedzialny za czystość i nasmarowanie zamka, więc musiał umieć biegle rozbierać go i składać.

Numerem 5, czyli skalowniczym (w wojsku polskim mówimy: nastawniczy), był starszy kanonier Kowalczuk, zwany Hryć. Nie wiem, dlaczego tak go nazywano, choć na imię miał Władysław. Nikt o nim nie mówił inaczej niż Hryć Kowalczuk. Był uczniem gimnazjalnym ze Stanisławowa i posądzaliśmy go, że jest Rusinem. Mówił śpiewnie po lwowsku i o byle co się obrażał. Nie był zbyt lubiany. Służył w artylerii od 1914 roku, czyli od początku, dlatego też był starszym kanonierem, jak Ciba. Do jego obowiązków należała opieka nad jaszczem i amunicją. W czasie strzelania przygotowywał odpowiednie do komendy ładunki (granaty albo szrapnele) i skalował szrapnele na odpowiedni rozprysk. Był odpowiedzialny za nastawienie szrapneli. Miał więc po celowniczym najważniejsze funkcje.

Numerem 6, czyli pomocnikiem skalowniczego, był kanonier Leichtfried, uczeń gimnazjalny z Jarosławia, wielki i silny chłopak, wyglądał na Żyda i był nim prawdopodobnie. Nie był przez nas lubiany. W czasie strzelania pracował razem z Kowalczukiem przy jaszczu. Na tym koniec właściwej obsługi. Dalej trzech koniowodnych, trzymających konie obsługi w czasie strzelania. Wśród nich byłem ja sam, jak już wspominałem. W czasie strzelania wypadało każdemu z nas trzymać po dwa konie obsługi. Oczywiście samo trzymanie byłoby niczym, ale po odprzodkowaniu działa należało wraz z przodkami odjechać trzema końmi (w tym mój), a na znak do zaprzodkowania podjechać razem z przodkami i ustawić się z tą trójką koni odpowiednio do komendy (zaprzodkowanie mogło być

w przód, w tył, w lewo, w prawo). Kiedy ćwiczenie było wykonywane w stępie, wszystko szło łatwo, ale kiedy padła komenda: „Do zaprzodkowania w przód, galopem marsz!”, cała kolumna przodków i koniowodnych musiała się z miejsca zerwać do galopu, a potem osadzić konie na miejscu przy działach. Przy tych ćwiczeniach my, koniowodni, nieraz bywaliśmy zwymyślani co nie miara przez oficerów, bo manewrować trójką koni nie zawsze posłusznych nie było łatwo. Nie daj Boże, aby się któremuś z koniowodnych koń wyrwał, wtedy było murowane lanie trzcina po plecach przez dowódcę baterii, a jeszcze częściej przez szefa, Jastrzębca, który wszędzie był na swej wielkiej klaczy Kleopatrze.

Ja byłem pierwszym koniowodnym, a więc jechałem w środku pierwszej trójki, za armatą, i miałem do trzymania konie Ciby i Włodka. Koniowodny musiał być o tyle zgrany ze swoją obsługą, że po komendzie „do odprzodkowania” kanonierzy z obsługi zeskakiwali błyskawicznie z koni, które ich od tej chwili nic nie obchodziły, a koniowodny musiał natychmiast pochwycić wodze obu koni, aby się one nie rozbiegły. Jeżeli więc między obsługą a koniowodnym nie było harmonii, to mogli sobie robić na złość. Obsługa mogła dokuczyć koniowodnym przy zeskakiwaniu z koni, nie interesując się tym, czy koniowodny trzyma już konie i odwrotnie – przy zaprzodkowaniu, jeśli koniowodny nie przytrzymał koni wsiadającym kanonierom z obsługi, ale puszczał je, zanim ci wsiedli, to często konie rwały za armatą, która już pędziła naprzód, a kanonierzy nie mogli wsiąść ani wskoczyć, mając na sobie płaszcze i ciężkie buty. Oczywiście u nas nie było o tym mowy! Nasza trójka żyła w najlepszej zgodzie i moi towarzysze przy zatrzymywaniu się rzucaли mi zręcznie wodze swoich koni, a ja w zamian trzymałem im konie na miejscu, dopóki nie wsiedli. Szczególnie Ciba miał z tym trudności, gdyż jego koń chodził z prawej strony mojego, a kanonierzy, których konie chodziły z prawej strony koniowodnego, musieli też wsiadać z prawej strony. Było to bardzo niewygodne, bo wsiadać z prawej strony na konia to tak niezręcznie, jak lewą ręką się żegnać.

Drugim koniowodnym był kan. Stanisław Josse, uczeń gimnazjalny z Małopolski. Miał 17 lat, a wyglądał jeszcze młodziej. Był średniego wzrostu i okrągłych kształtów. Miał rumianą twarz dziewczyny, bez zarostu wyglądał całkiem jak przebrana w spodnie dziewczyna, toteż nazywaliśmy go „panna Stasia”. Na koniec, trzecim koniowodnym był kanonier Piotr Parkitny, robotnik tkacki z Częstochowy. Przyszedł świeżo z piechoty. Był ranny, a po wyleczeniu się w szpitalu przeszedł do artylerii i trafił, moim zdaniem dość niefortunnie, do baterii konnej. Miał też z koniem duże trudności. Ledwie sobie dawał rady z jednym, a tu kazali mu parać się trzema. Poza tym wzbudzał sympatię, gdyż była to złota dusza. Cichy, skromny, pracowity, grzeczny i zahukany. Wszystkich słuchał i wszystkie rozkazy starał się wypełniać jak najlepiej, każdemu starał się służyć.

Było jeszcze sześciu jezdnych. Wszyscy prości ludzie ze wsi, ale szczerzy i dobre chłopcy. Każdy z nich miał po parze koni zaprzęgowych, o które dbał jak o swoje. Dyszlowym jeźdźcą w naszej armacie był Andrasz, mój towarzysz z Baterii Szkolnej. Miał piękną parę gniadoszów, wałacha i klacz. Klacz nazywała się Walkiria i była Andrasza ukochaniem. Gdzie tylko mógł, kradł dla niej siano i owies, a w marszach powstrzymywał ją lekko, aby za ostro nie ciągnęła, popędzając równocześnie naręcznego wałacha i pokrzykując na środkowego i szpicowego jeźdźcę, aby ich konie dobrze ciągnęły.

Ale też Walkiria była koniem okazowym: siedemnastej miary, grubej kości, a jednak zgrabna i niemal smukła, łagodna jak dziecko i ambitna jak folblut⁹. Był to ideał wierzchowca konno-artyleryjskiego. W bagnie czy w rowie, Walkiria potrafiła sama wyrwać armatę zagrążoną po osie. W takich wypadkach Andrasz nigdy jej nie bił. Kiedy szóstka stanęła z powodu zagrążenia armaty, Andrasz chwilę głaskał po szyi Walkirię i mówił do niej półgłosem jakieś czułe słowa. Ona stała spokojnie, strzygąc uszami do tyłu, jakby nie chcąc uronić ani słowa z tego przemówienia. Potem Andrasz śmigał batem nad głową wałacha, nie bijąc zresztą i jego, i wołał: „Wio, maleńka!”

Walkiria przysiadła z lekka na zadzie, wkładała się głęboko w chomąto i bez szarpania napinała swoje stalowe muskuły, a armata ryła ziemię i posuwała się naprzód, jakby ciągniona jakąś niezwykłą siłą. W tych wypadkach była niezawodna. Nigdy nie porwała uprzęży przez rzucanie się lub szarpanie. Przy ubieraniu w uprzęż sama wkładała głowę w chomąto. Było to wielkie ułatwienie dla jeźdźcy, bo uprzęż na dyszlowego konia ważyła bez siodła około 40 kg i podniesienie jej w górę, aby ją przewlec przez głowę konia, było wysiłkiem nie lada. Nie raz sam widziałem, jak jeźdźca dźwigał uprzęż, podnosząc ją do góry, aż mu żyły na czoło wychodziły, a koń darł głowę do góry aż pod powałę stajni, jakby kpił z niego, i trzymał ją w górze, dopóki zrozpaczony kanonier nie rzucił uprzęży na ziemię, nie mogąc jej dłużej utrzymać na wyciągniętych rękach. Z Walkirią o tym nie było mowy. Wyraźnie pomagała Andraszowi, gdy ją ubierał.

Jakoś pod koniec listopada Andrasz zwierzył się nam, że Walkiria jest żrebna. Nikt nawet z dawniej służących kanonierów nie mógł tego potwierdzić. Sanitariusz weterynaryjny, plut. Gajewski, zbadał ją, po czym Andrasza wyśmiał. „Nakradliście gdzieś siano Andrasz, kobyła się obżarła i z tego ma brzuch jak bania” – powiedział, obrzucając Andrasza pogardliwym spojrzeniem. Na razie na tym się skończyło, ale Andrasz nie uwierzył. Znienawidził Gajewskiego, chodził chmurny jak noc, a do nas mówił: „Ten koński łapiduch nic się nie zna na

⁹ Koń pełnej krwi angielskiej.

kuniach. Ja wam mówię, że ona jest żrebna, ino jeszcze trza poczekać”. Kiwaliśmy głowami, aby mu nie robić przykrości, ale wierzyliśmy raczej Gajewskiemu. Andrasz tymczasem całymi wieczorami siedział w stajni, głaskał kobyłę po brzuchu, przykładając ucho do brzucha i słuchał. Podglądali go inni kanonierzy i pokpiwali z niego, ale Andrasz się nie zmieniał.

Minęło jakieś dwa miesiące. Byliśmy już na pozycji pod Serechowem. Pewnego wieczoru wszedł do naszej ziemianki Andrasz czerwony i jakoś dziwnie wzruszony. „Rucho się” – powiedział bez żadnego wstępu. „Co?” – zapytał Ludwik Ciba. „On” – odpowiedział Andrasz. „Jaki on?”. „A dyć on, żróbek!” – zawołał Andrasz z przejęciem. „Niemożliwe!?” – zawołaliśmy niemal chórem. „Dalibóg że się rucho, możecie iść posłuchać!”

Od tego czasu Andrasz promieniał z radości. Teraz on patrzył z pogardą na Gajewskiego i jawnie mu to okazywał. Od tego też czasu szanował swoją Walkirię jeszcze więcej niż przedtem. Nie dał jej brać do żadnej ciężkiej roboty, tylko co rano chodził z nią na spacer, prowadząc ją przy pysku. Jakoś w kwietniu widać już było, że poród nastąpi lada dzień. Andrasz zmienił się w stosunku do Gajewskiego radykalnie. Salutował mu zamasyście, a nawet mu proponował, że mógłby mu odstąpić swoją porcję rumu, który fasowaliśmy dwa razy w tygodniu. Poza tym dowiedział się między Austriakami, gdzie jest kwatera najbliższego lekarza weterynarii.

Staliśmy już wtedy na pozycji pod Jeziercami, gdzie stanowiska przodków były w lasku odległym od stanowisk armat około 400 m. Pewnego ranka przybiegł do nas jeden z jezdnych z naszej armaty i zawołał: „Andrasz ma żróbka!”. Połowa z nas pobiegła zaraz na stanowiska przodków. Na dworze, przy konowiązie, stała Walkiria, z obwisłym brzuchem i spuszczoną głową. Koło niej siedział na pniaku Andrasz i zaczerwienionymi po bezsennej nocy oczyma przyglądał się żróbkowi, leżącemu na słomie, u jego nóg. Głaskał go po głowie i szeptał mu jakieś czułe słowa. Andrasz tak był zmęczony, jakby to on rodził, a nie kobyła, ale promieniał szczęściem i dumą, bo było już po wszystkim, a żróbek był „piękny”. Opowiedział nam, jak bardzo biedna Walkiria się namęczyła i jak on jej przy tym pomagał.

Walkiria szybko przychodziła do siebie, a żrebacki rósł jak na drożdżach. Nazwaliśmy go „Bem”, co miało być wyrazem naszego przywiązania do niego. Choć był to żrebacki wyraznie Andrasza, czego mu nie negował nawet dowódca baterii, to jednak Bem był dzieckiem całej pierwszej armaty. Za Andraszem chodził jak pies, a Andrasz wodził za nim zachwyconym wzrokiem jak za narzeczoną. Jeśliby ktoś powiedział coś na Bema, to mógł być pewien, że straci Andrasza przyjaźń. Bem był w jego oczach bezwzględnie najpiękniejszym i najmądrzejszym żrebackiem na świecie.

Z końcem maja przyszedł rozkaz, że mamy opuścić 9 Dywizję Kawalerii austriackiej, przy której byliśmy od dwóch miesięcy, i mamy wrócić do Legionów, które stały wówczas na pozycjach pod Kostiuchnowką i Optową. Czekał nas całodzienny marsz. Andrasz bardzo się martwił, czy aby Bem wytrzyma. Karmił go intensywnie chlebem ze swego fasunku, aby mu dodać sił. Bem był pełen wigoru, hasał po całym placu parkowym i brał się już nawet do skakania przez dyszle. W pierwszych dniach czerwca 1916 roku nastąpił nasz odmarsz z pozycji pod Jeziercami i marsz do Optowej. Był piękny, ciepły dzień, konie dobrze wyglądały, doskonale wyczyszczone po długiej beczynności. Bem w nowym, żółtym kantarku na głowie biegał radośnie koło Walkirii, która w ciężkiej, dyszlowej uprzęży oglądała się za nim bezradnie i niespokojnie. Do południa Bem szedł wesoło i swobodnie, ale po południu był już najwidoczniej zmęczony, bo nie skakał, szedł drobnego stępa, zostawał w tyle i na wołanie Andrasza doganiał kłusem. Jechaliśmy wąską, piaszczystą drogą, wśród rzadkiego wołyńskiego lasu. Bem szedł przy kole armaty, kiedy przy zakręcie armata, robiąc mniejszy łuk niż przodek, przycisnęła go niespodziewanie kołem do dużego drzewa. „Bem!” – krzyknęło równocześnie kilku ludzi z obsługi, którzy to zobaczyli. Andrasz obejrzał się momentalnie i zobaczył Bema ściśniętego między pniem drzewa a kołem. Zeskoczył w tej chwili z siodła i podbiegł do Bema, który uwolniony już z uścisku, gdyż armata pojechała dalej, stał niepewnie na nogach, sapiąc ciężko i stękając. Andrasz obmacywał go troskliwie, badając żebra z obu stron, ale żebra były całe, tylko sierść była z jednej strony zdarta. Andrasz głaskał czule Bema, a równocześnie kłął siarczyście obsługę. „Pierony ogniste, mówiłem wam, byście mi na Bema pozór dawali, bo ja przecież nie mogę wszystkiego widzieć, jak na dyszlowych kuniach jadę. Ofermy sakramenckie, ino gadacie, że gemby się wam nie zamykają, a że kuń byłby się zabił, to wam o to nic!”. Milczeliśmy potulnie i nawet pyskаты Ludwik Ciba nic nie odpowiedział, bo trudno – byliśmy winni. Andrasz tymczasem przemawiał czule do Bema. „Żebyś ty Bemus chciał se legnąć na przodku, to ja bym cię zawiózł na samo miejsce, ale ty pieronicku nie usiądziesz, ino latać ci się chce”. Po chwili Bem przyszedł szczęśliwie do siebie i doszedł jakoś o własnych siłach do Optowej.

Minął miesiąc. Bem znów wyrósł i wypiękniał. Mimo że miał dopiero trzy miesiące, wyglądał już na półrocznego łoszaka. 5 lipca Moskale natarli na nasze pozycje i zaczęła się ciężka, trzydniowa bitwa pod Kostiuchnowką, bitwa o „Polską Górę”¹⁰. Pozycje naszej baterii były za 4 Pułkiem Piechoty majora Roi. Strze-

¹⁰ Bitwa trwała w dniach 4-7 VII 1916 r. Legiony mimo ogromnych strat, sięgających blisko 2 tys. żołnierzy i odwrotu za Stochód, przyczyniły się do powstrzymania rosyjskich działań ofensywnych.

laliśmy dzień i noc. Konie były cały czas ubrane, a od drugiego dnia bitwy były zaprzężone do przodków. Andrasz kręcił się niespokojnie, a w czasie, kiedy nad pozycjami przodków rwały się szrapnele rosyjskie, obejmował Bema obu rękami i osłaniał go własnym ciałem. Trzeciego dnia, pod wieczór, Austriacy, stojący na obu skrzydłach Legionów, wycofali się, więc musiały się cofać i Legiony. Zmrok już zapadł, kiedy padła komenda: „Przodki na baterie!”. Zaprzodkowaliśmy działło i ruszyliśmy w smutny marsz, jakim jest każdy marsz odwrotowy. Bem dreptał blisko Walkirii, jakby odczuwał grozę sytuacji. Andrasz odwracał się co chwila i nawoływał, jeśli Bem został tylko trochę z tyłu. Zapadła ciemna noc bezksiężycowa. Ciemności potęgował jeszcze las, przez który maszerowaliśmy. Byliśmy mocno zmęczeni. Co chwila mijaliśmy jakieś inne oddziały: to naszą piechotę, to Austriaków, to jakieś tabory. Piechota powtarzała nam groźne wieści. „Wyrwa” zabity, Fleszar zabity, Berbecki ranny itp. Nad lasem wznosiły się łuny pożarów. Nad ranem doszliśmy do wsi Trojanówka. Świtało już dobrze, kiedy zjeżdżaliśmy z drogi w bok dla odpoczynku.

Nagle rozległ się krzyk Andrasza: „Bem! Gdzie Bem?! Nie ma Bema!”. Andrasz biegał jak oszalały, pytał wszystkich, czy nie widzieli, ale nikt nie widział. Okazało się, że nad ranem Andrasz zmęczony marszem zdrzemnął się trochę w siodle, co wystarczyło, aby Bem się zgubił w ciemności i w tłoku innych oddziałów. Andrasz był w rozpacz. Karmił swoje konie, podtrzymując jedną ręką karmiak Walkirii, a drugą głąskał ją po szyi, na której zakrzepł pot całonocnego trudu, i coś do niej mruczał półgłosem. W chwilę potem cała bateria spała kamiennym snem, każdy leżał gdzie bądź, na ziemi. W jakieś dwie godziny później – alarm. Maszerujemy dalej. Ale co to!? Już pada komenda: „Do wsiadania”, a przy dyszlowych koniach pierwszej armaty nie ma jeźdźnego! Nasz działonowy, Kłosowicz, jest wściekły. „Zwariował ten Andrasz czy co!”, krzyczy Kłosowicz. Ale nie ma czasu do namysłu. Prosimy Kłosowicza, aby nie meldował oficerom braku Andrasza, trzeba poczekać, on się na pewno znajdzie. Wszyscy go rozumiemy, gdyż sami jesteśmy bardzo przejęci stratą Bema. Kłosowicz każe środkowemu jeźdźnemu siadać na dyszlową parę, a jednego z obsługi wsadza na środkową i tak ruszamy. Szef, Jastrzębiec, spostrzega w marszu brak Andrasza – jego oku nic nie ujdzie! Zresztą nie jest to takie trudne. Przygarbiona postać Andrasza była tak przystosowana do Walkirii, że raził każdy inny na jej grzbiecie. Jastrzębiec szaleje z wściekłości, klnie i bije się grubym stekiem¹¹ po cholewie, aż jego Kleopatra przysiada na zadzie. „Jak Andrasz się znajdzie, zameldować mi zaraz, ja sobie z nim pogadam!” – rzuca wreszcie i odjeżdża kłusem.

¹¹ Stek – inaczej bicz, szpicruta (lokalne).

Po południu przechodzimy Stochód i dochodzimy do Stobychwy. Za miasteczkiem rozkładamy się na nocny biwak. Noc jest spokojna, bo całe Legiony są już za Stochodem, a nieliczne mosty są już powysadzane. Nad ranem budzimy się i widzimy, że – o dziwo – Andrasz kręci się koło swoich koni. Ma ponury wyraz twarzy, zapadnięte policzki i zaciśnięte wąskie usta. Zanim mieliśmy czas na jakieś pytania, zjawia się jak spod ziemi ogniomistrz Jastrzębiec. Już taki miał talent, że zjawiał się zawsze tam, gdzie był najmniej spodziewany. Wielkimi krokami idzie wprost do Andrasza, a w rękę ściska swój gruby stek. Jego mina nie wróży nic dobrego. „Gdzieście byli Andrasz?” – pyta krótko. „Szukałem Bema, panie ogniomistrzu” – odpowiada Andrasz, patrząc mu prosto w oczy. „I co?” „Nie ma Bema – odpowiada Andrasz – szukałem wszędzie. Byłem u piechoty i u ułanów, i taboru przeszukałem, i nigdzie go nie znalazłem”. Głos mu się załamuje. „Już po moim Bemie, panie ogniomistrzu” – i z oczu Andrasza spływają dwie wielkie łzy. Srogie rysy Jastrzębca zmiękły, opadły ręce, którymi podpierał się pod boki, w końcu powiedział jakoś dziwnie miękko: „Andrasz, idźcie już do koni”.

Bem nie odnalazł się nigdy, ale w naszej pamięci pozostał na zawsze związany z postacią Andrasza. Wybiegłem nieco naprzód tą historią o Bemie, wróćmy więc do listopada 1915 roku i naszych koszar w Kowlu. Z Andraszem byłem już wtedy w przyjaźni i mówiliśmy sobie po imieniu. Może to kogoś dziwić, że byłem taki skory do „tykania się” z tym byłem dorożkarzem, ale ja nie tylko pozwoliłem, aby on mówił mi na „ty”, ale uważałem sobie to za zaszczyt, że on pozwala mi mówić do siebie „ty”. On był starym żołnierzem, a ja rekrutem, to było kryterium decydujące i żadne inne nie mogło być brane pod uwagę. Poza tym był naprawdę dobrym kolegą, toteż lubiłem go szczerze.

Andrasz miał jeszcze jedną namiętność oprócz swojej ulubionej fajeczki. Był łasy na płeć piękną. Traktował jednak swój stosunek do kobiet dość swoiście, bez sentymentu, raczej utylitarnie. Zabiegał też zazwyczaj o takie przyjaciółki, przy których można by połączyć przyjemne z pożytecznym. Zawsze cenił wyżej taką przyjaciółkę, u której oprócz rumianej buzi czekały na niego dwa kotlety w duchówce¹², niż taką, która ofiarowywała mu idealne uczucie. Miał też swoje niezawodne sposoby na kobiety. Na przykład opowiadał mi w zaufaniu, co trzeba robić, aby chłopcy mieli powodzenie w czasie zabaw tanecznych. Otóż trzeba nazbierać kurzu końskiego strząsanego ze zgrzebła przy czyszczeniu koni, następnie posypać przed zabawą tym kurzem podłogę. „Jak ci wiara zacznie potem tańcować, a ten proch się podniesie, a zajdzie dziwkom pod spódnicę, to ci mówię bracie, że baby się tak palą, że chłopaki opędzić się ni mogą”.

¹² Regionalne określenie piecyka, piekarnika.

Taki był nasz dyszlowy jezdny, Andrasz. Po wojnie został w wojsku polskim jako zawodowy podoficer i doszedł do stopnia starszego ogniomistrza. Po Legionach spotkałem go jeszcze tylko raz w życiu, w roku 1934 w Wilnie, podczas Zjazdu z okazji 20-lecia 1 Pułku Artylerii Legionów. On był ogniomistrzem, a ja kapitanem, co oczywiście nie przeszkodziło nam przywitać się serdecznie i wycałować „z dubeltówki”. Postać Andrasza zajęła mi wyjątkowo dużo miejsca, ale sądzę, że wart był tego. Reszty naszych jezdnych nie będę szczegółowo opisywać, gdyż byli mniej wybitnymi osobistościami. Byli to chłopci ze wsi, uczciwi i porządni, a przede wszystkim przywiązani do swoich koni. Każdy z nich miał ambicje, aby jego konie dobrze wyglądały. Wszyscy też niezachwianie uznawali autorytet Andrasza, który był ich moralnym przywódcą.

Praca szkolenia naszej baterii szła forsownie naprzód. Porucznik „Kownacki” wkładał całą duszę w to, aby nasza bateria była jak najszybciej przygotowana do użycia na froncie i w walkach manewrowych, co jest przede wszystkim zadaniem konnej artylerii. Trzy razy w tygodniu były ćwiczenia baterią zaprzęzoną. Była to najważniejsza część naszego wyszkolenia. Jeździło się wtedy po najdzińszych werstepach, zmieniało szyki, zmieniało w galopie pozycje, zawracało baterię w ciasnej uliczce. Jednym słowem, ćwiczono wszystkie możliwości bojowe. Poza tym tłukliśmy działoczniny, musztrę w pieszym i w konnym szyku, ujeżdżalnie itp. Chyba w żadnym rodzaju broni żołnierz nie musi być tak wszechstronnie wyszkolony, jak w artylerii konnej. Jak piechur musi znać musztrę pieszą i obchodzenie się z karabinem, jak ułan musi jeździć konno i władać szablą i jak artylerzysta musi obsługiwać armatę, toteż byliśmy na nogach od rana do nocy. Wieczorem człowiek był tak zmęczony, że o pójściu do miasta nie było mowy. Prawdę mówiąc, nie było i po co.

W tym czasie zdarzył mi się przykry wypadek z moimi pięknymi butami. Ponieważ było wtedy wielkie błoto, więc buty były prawie co dzień wieczorem mokre. Pewnego dnia, kiedy buty były jeszcze bardziej mokre niż zwykle, kładąc się spać wieczorem, powiesiłem je przy wielkim piecu stojącym na środku sali. Uwiązałem je na sznurku za cholewy w ten sposób, że czubkami dotykały murewanej ściany pieca. Na rano buty były wprawdzie suche, ale w jakieś dwa tygodnie potem w czubkach butów zrobiły się dziury, gdyż skóra się w nich przepaliła. Byłem w rozpacz, bo były do wyrzucenia. Na szczęście miałem drugie, fasowane.

Pod koniec listopada dowiedzieliśmy się, że bateria ma być przeniesiona w kierunku frontu, do wsi Kreczewice, położonej na północny wschód od Kowla. W pobliżu Kreczewic stał we wsi Werchy 1 Pułk Ułanów „Beliny”, z którym mieliśmy się w przyszłości połączyć. Cieszyliśmy się na tę zmianę, gdyż życie na kwaterach jest zawsze miłsze i swobodniejsze dla żołnierzy niż życie w koszarach,

gdzie twardy reżim wojskowy daje się zawsze żołnierzowi we znaki. Zima była w tym roku wczesna. Kiedy wymaszerowaliśmy w pierwszych dniach grudnia, było już dużo śniegu i chwycił silny mróz. Ponieważ mróz przyszedł po odwilży, więc na drogach gołoledź była taka, że z biedą przejechaliśmy przez ulice Kowla, bo konie, choć ostro kute, co chwila się przewracały. Odcinek marszu nie był zbyt długi (około 25 km), ale dał nam się mocno we znaki z powodu mrozu, toteż pod wieczór weszliśmy z przyjemnością do buchającej ciepłem chaty, przeznaczonej nam na kwaterę.

Kreczewice były małą wioszczyną, rozłożoną wzdłuż jednej drogi, toteż bateria zajęła całą wieś, nie zostawiając jednej chałupy wolnej. Stajnie chłopskie były tak małe i ciasne, że nasze konie ubrane w wysokie i wysoko stroczone austriackie siodła kawaleryjskie nie mogły przejść przez drzwi do stajen i musiały stać na klepiskach, w stodołach. Ja miałem kwaterę wspólnie z Włodkiem Dziewskim i Jossem. Była to izba w chacie chłopskiej, którą oczywiście zajmowaliśmy wspólnie z całą rodziną chłopa. Prawie wszystkie chaty były jednakowo składające się z jednej izby, sieni i komory. W całej wsi były tylko dwa domy dwuizbowe. Tam kwaterowali oficerowie. Wszystkie izby mieszkalne były urządzone identycznie, a mianowicie jedną czwartą izby zajmował ogromny piec do gotowania strawy i pieczenia chleba, a w zimie i do spania dla całej rodziny. Drugą ćwiartkę izby, koło pieca, zajmowała duża prycza, na której cała rodzina sypiała latem. W trzecim rogu stały dwie ławy i stół. Nad ławami wisiały święte obrazy, między nimi portret cara i carowej, a na ścianach półki z talerzami i miskami. To było całe urządzenie domu. Spaliśmy na słomie rzuconej na klepisko (bez podłogi). Rodzina naszego gospodarza, mającego około 50 lat, składała się z jego żony, młodej synowej „newistki”, żony najstarszego syna, który był w wojsku rosyjskim, i z trojga dzieci młodszych, w wieku od 10 do 15 lat. Duszą domu była synowa. Miała na imię Katarzyna, a wszyscy nazywali ją Katarynką. Była to młoda kobieta, ruchliwa i pracowita. Dzieci jeszcze nie mieli, bo pobrali się tuż przed wojną, a potem on wyjechał. Katarynka była niska, jędrna i czerwona na twarzy. Typowa wiejska dziewczyna. Ona to przynosiła nam co wieczór słomę do spania i co rano ją sprzątała.

Chłop był typowym, ponurym, nieufnym i tępym wołyńskim „hadem”¹³. Długo trwało, zanim nabrał do nas trochę zaufania. Nasze wojsko wydawało mu się mocno podejrzanym i tak bardzo odmienne od wojska rosyjskiego, że wszystko go

¹³ Polak nazywał Ukraińca *Hadem*, *Hadiuką*, zaś Ukrainiec wyzywał Polaka od *Lachów*, co w rozumieniu obu stron konfliktu było równie obraźliwe, jak określenie *Had*. Trzeba tu wyjaśnić, że przez pojęcie *Had* obie strony rozumiały jadowitego gada (B. Szpryngiel, *Pobratymcy*, [on-line], <http://nawolyniu.pl/>).

dziwiło. Przede wszystkim to, że wszyscy byli bardzo młodzi, i to zarówno szeregowi, jak i oficerowie. Rzeczywiście, przynajmniej połowa baterii miała poniżej dwudziestu lat, a powyżej trzydziestu było najwyżej dwóch albo trzech. Poza tym dziwił go mało groźny stosunek oficerów do nas, który poza służbą był niemal koleżeński. Dziwiło go też bardzo, że mówimy do siebie „obywatelu”, o ile nie po imieniu (ten zwyczaj był rozpowszechniony w całej I Brygadzie, nawet w stosunku do oficerów). Obserwował nas bacznie i też wiele rzeczy go dziwiło. Przede wszystkim to, że my, prości żołnierze, mówimy między sobą językiem panów, to jest po polsku, jak również – co to za wojsko, które nazywa się polskim, skoro przecież nie ma żadnej Polski (to akurat wiedział). Później, kiedy już nabrał do nas trochę zaufania, zwracał nam z tajemniczą miną uwagę, że z nami może być źle, bo jak „nasi” (Moskale) wrócą, to się z nami policzą. Raz nawet pokazał nam medal rosyjski, przechowywany z czcią w skrzyni, który dostał jego ojciec za *usmierenje*, to jest za udział w stłumieniu powstania 1863 roku. Dziwił się też bardzo, że wieczorami zawsze pisaliśmy listy albo czytaliśmy książki lub gazety. We wsi bowiem prawie nikt nie umiał czytać. Nie było też bardzo przy czym czytać, gdyż normalnym oświetleniem izby w czasie długich wieczorów zimowych była trzaska smolna wetknięta między belki chaty albo mały ogienek palony na kominie. Dawało to tylko tyle światła, ile było potrzeba, aby trafić do drzwi i nie rozbijać sobie głowy o sprzęty, tak więc już na początku kupiliśmy sobie małą lampkę naftową i paczkę świec na zapas, aby móc wieczorami coś robić. Nie było o to trudno, gdyż ciągle były okazje do Kowla.

Nasze życie w Krzeczewicach było całkiem inne niż w koszarach w Kowlu. Nie sposób już było utrzymać tej dyscypliny, co w koszarach. Widać to było przy rannym wydawaniu obroku. Magazyn owsa był w komorze naszej chaty, tam też urzędował podoficer furażowy. W ogonku, który się ustawiał co rano do poboru obroku, co drugie miejsce zajmowała dziewczyna, która przychodziła po obrok za swoich „panów”. „Panowie” tymczasem spali. Kiedy furażer irytował się i nie chciał wydawać owsa dziewczętom, wtedy stawały w obronie kanonierów: że to „mój pan” właśnie poszedł poić konie, a inny – że je czyści itp. Nasza Katarynka uważała to sobie za obowiązek, aby rano brać owies dla naszych koni, nakarmić je i napoić, abyśmy mogli dłużej pospać. W ogóle bardzo ją polubiliśmy, bo była pracowita, chętna i grzeczna. Żadnych podejrzanych stosunków między nami a nią nie było, gdyż ona odczuwała doskonale przepaść społeczną, jaka nas dzieli, co wpływało na pewną jej nieśmiałość w stosunku do nas i trzymanie się raczej z daleka. Zauważyłem to już wtedy, a potem obserwowałem to stale, że u wiejskich dziewcząt dużo większe powodzenie mieli żołnierze chłopci niż żołnierze inteligenci albo oficerowie. Jest to zresztą zrozumiałe.

Tempo naszego szkolenia w Krzeczewicach uległo lekkiemu zahamowaniu z powodu dość ostrej zimy. Wyjazdów zaprzężoną baterią prawie że już nie było, a jedynie maneż i musztra w konnym szyku. Poza tym jak tylko była lepsza pogoda i śnieg nie za duży, jeździliśmy w teren, ale nie w zwartym szyku, tylko „rojem”. Te jazdy były ulubioną formą naszych zajęć służbowych. Prowadził je najczęściej sam por. „Kownacki”, pędząc z nami po różnych wertepach i po lasach. W lesie trzeba było szczególnie uważać, bo „Kownacki”, klucząc między drzewami swoją doskonale wyjeżdżoną Wiedźmą, nie zwalniał tempa, tylko jechał ostrym kłusem lub galopem, więc trzeba było dobrze się pilnować, aby nie rozbić kolana o drzewa. Przy trąceniu drzewa śnieg sypał się za kołnierz, a szczególnie na siodło, co było o tyle nieprzyjemne, że po chwili człowiek miał całe siedzenie mokre. Dostaliśmy w tym czasie krótkie kawaleryjskie kożuszki austriackie, bardzo wygodne do jazdy konnej, do chodzenia i do spania (pod głowę), ale niewiele chroniące siodło przed śniegiem i kolana przed deszczem.

W tym czasie zaszły też w baterii duże zmiany w korpusie oficerskim. Porucznik Durski dostał przeniesienie na dowódcę 4 baterii, a ogniomistrz Wąsowicz został podporucznikiem. Właściwie dawno mu się to należało, skoro już przed wojną był rosyjskim oficerem rezerwy, ale w Legionach o awans nie było łatwo. Poza tym przyszło do baterii trzech nowych oficerów. Porucznik Hertel, ppor. Kamiński i ppor. Chmielowski. Z tej nowej trójki najwięcej podobał nam się Hertel. Był młody (22-24 lata), niewielki, bardzo zgrabny, elegancki i wesoły. W Wojsku Polskim Hertel doszedł do stopnia pułkownika i zginął bohaterską śmiercią w roku 1939 w wojnie z Niemcami, przy przebijaniu się przez pierścień otaczających Niemców, jako dowódca artylerii, 18 Dywizji Piechoty¹⁴.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Miały to być moje pierwsze święta w życiu poza domem. Myślałem o nich ze smutkiem, choć dostałem od Rodziców, z Wiednia, paczkę z prowiantem i słodyczami. Nasza kuchnia urządziła wilię żołnierską. Dostaliśmy na święta po pół litra rumu na głowę i była zapewniona wyżera jak się patrzy, ale mimo to wilia ta była dla mnie bardzo smutna. Zjedliśmy ją we trójkę na naszej kwaterze. Z kuchni baterijnej dostaliśmy po wielkim kotlecie z kartoflami i po dwa pączki wielkie jak pięści. Przed wilią Włodek Dzisiewski uważał za stosowne zaproponować wypicie po szklance rumu, ale duszkiem. Nalał sobie ćwierćlitrowy kubek po brzegi i wypił go duszkiem, nie mrugnawszy okiem ani nie zagryzając niczym. Potem nalał ten sam kubek i podał mnie. Oczywiście wypilem go bez wahania. Choć nigdy nie należałem do wielkich pijaków, poszło mi to dość

¹⁴ W kampanii wrześniowej 1939 r. płk Aleksander Hertel był dowódcą piechoty dywizyjnej 18 DP w składzie Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”, a w dniu swojej śmierci, 12 IX, dowódcą tej dywizji.

gładko. Po mnie wypił taką samą porcję Josse. Po tym wstępie wilia poszła nam dość wesoło, choć z wyjątkiem opłatka nie było żadnych tradycyjnych potraw wigilijnych.

Po kolacji moi towarzysze poszli odwiedzać kolegów na kwaterach i dalej pić, a ja zostałem, aby napisać list do domu. Zrobiło mi się strasznie smutno i tęskno za domem. Byłem pewien, że oni też myślą o mnie, a Matka łązkę roni, że mnie z nimi nie ma. Siadłem więc do listu, który mi się jednak jakoś nie kleił. Siedziałem tak dość długo, patrząc na opłatek przysłany z domu, jakby z niego patrzyły na mnie wszystkie kochane twarze. Wreszcie napisałem krótki, ale serdeczny list i przed powrotem moich towarzyszy położyłem się spać.

W czasie Bożego Narodzenia przyszedł rozkaz przemieszczenia się naszej baterii do Werch, dlatego cały drugi dzień świąt zeszedł nam na smarowaniu osi, troczeniu siodła i pakowaniu wozów. Marsz był krótki, bo wieś Werchy leżała w odległości zaledwie 15 km. Zakwaterowaliśmy się na jej końcu, gdyż reszta wsi była już zajęta przez pułk ułanów „Beliny”. Nasze zbliżenie do beliniaków nie należało do udanych, gdyż pierwszej nocy nasi ludzie rozbili i obrabowali ich kantynę. Przeprowadzone natychmiast śledztwo wykazało, że włamania i kradzieży dokonał kanonier Małek, woźnica taborowy z naszej baterii. Został natychmiast aresztowany i oddany pod sąd polowy, niemniej jednak pierwsze wrażenie było przykre. Beliniacy, którzy służyli teraz w naszej baterii, postarali się zapisać ten niemiły incydent ze swymi kolegami ułanami i zdaje mi się, że dość gruntownie im się to udało. Ja nie miałem między ułanami żadnego znajomego, toteż nic nie zyskałem na naszym przeniesieniu. Po paru dniach jednak spotkałem na drodze mego starego znajomego z Wiednia, Radosława Wojnicza. Przywitał się ze mną z dość wylewną serdecznością, ale ja nie bardzo go lubiłem, gdyż uważałem go za objacza i blagiera. Zresztą nawet teraz, służąc w pułku, siedział przy poczcie pułkowej.

Nasz pobyt w Werchach trwał tylko parę dni, gdyż jeszcze przed Nowym Rokiem otrzymaliśmy wiadomość, że bateria ma pójść na pozycje, ale nie na odcinek zajmowany przez Legiony, tylko do austriackiego Korpusu Kawalerii gen. Hauera. Mieliśmy tam zmienić konną baterię austriacką, której wszystkie konie zachorowały na parchy. Wymaszerowaliśmy z Werch w dzień Nowego Roku 1916 i tegoż dnia weszliśmy w strefę przyfrontową zupełnie ewakuowaną z ludności cywilnej. Przykre wrażenie robiły te bezpieczeństwa wioski i chaty, często bez okien i drzwi, które pozabierano do okopów. Nasze pozycje miały być poza wsią Serechowo, do której doszliśmy pod wieczór. We wsi rozlokowani zostali koniowodni z taborami pułków kawalerii, zajmującej pozycje w okopach. Dużo koni Austriaków było parszywych, więc by nie zarazić naszych koni przez podejrżane stajnie, spaliliśmy na dworze. Mróz był wprawdzie niezbyt duży, ale spędzenie nocy w styczniu na dworze nie należało do przyjemności.

Przesiedzieliśmy całą noc przy ogniskach, a nazajutrz, przed południem, zajęliśmy na pozycję, znajdującą się na polanie, wśród lasu. W czasie jazdy na pozycję przeżyłem pierwsze żołnierskie doświadczenie – usłyszałem pierwszy świst granatu i wybuch niedaleko od nas. Przed dotarciem na pozycję musieliśmy bowiem przejechać przez polanę, przez którą przechodziła droga widoczna z okopów rosyjskich. Innej drogi do naszej pozycji nie było. Gdy tylko na tej polanie pojawił się jakiś większy ruch, Moskale natychmiast otwierali ogień artyleryjski, na szczęście jednak niezbyt celny. Do pojedynczych ludzi czy jeźdźców nie strzelano w tym miejscu, ale do oddziałów strzelano z reguły. Przejście baterii przez polanę miało się odbyć działonami w galopie. Najpierw przeszedł galopem zwiad baterii i telefoniści, co stanowiło już dość dużą grupę, aby obudzić czujność Moskali. Kiedy po zwiadzie ruszyła galopem nasza pierwsza armata, nim dopadliśmy błogosławionego lasu, posłyszeliśmy charakterystyczny szmer lecącego pocisku artyleryjskiego, a zaraz potem wytrysła za nami fontanna ziemi. Przyznam się, że ten pierwszy pocisk zrobił na mnie duże wrażenie, mimo że nie był celny i nie przyniósł nam strat. Świst, huk, fontanna ziemi i furkoczące dookoła odłamki – to wszystko było dla mnie nowe i groźne. Na pociechę dla mnie, bo nie mogę ukrywać, że w tej chwili obleciał mnie podły strach, zauważyłem, że i moi towarzysze pochylili się na siodłach i wsadzili nosy w grzywy końskie nie gorzej ode mnie, mimo że byli starymi żołnierzami, a ja „rekruckim uchem”. Na razie na tym się skończyło, bo wpadliśmy do lasu i pod jego osłoną pojechaliśmy spokojnie dalej. Reszta baterii przeprowadzała się jeszcze jakiś czas przez polanę i była dalej ostrzeliwana, ale Moskale tego dnia nie mieli szczęścia, tak że przejechaliśmy bez strat i przed południem znaleźliśmy się na pozycji.

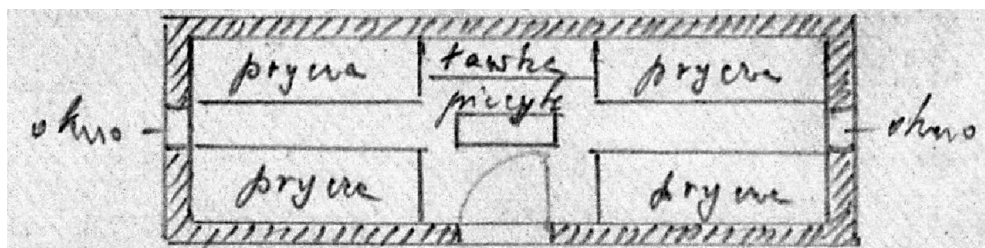
Austriacy byli już spakowani do wyjazdu. Ich dowódca baterii oddawał pozycję naszemu, co trwało dosyć długo. Podawał elementy strzelnicze dla różnych celów, opisywał punkty obserwacyjne i obyczaje nieprzyjaciela na tym odcinku. Oficerowie austriackiej baterii byli dla naszych uprzedzająco grzeczni i uprzejmi, a w ogóle byli to eleganccy ludzie. Wyglądali bardzo malowniczo w swoich małych, zgrabnych czapkach z końskimi ogonami zwisającymi na lewy bok i w zgrabnych kożuszkach ze złotymi sznurami. Z narodowości byli to przeważnie Węgrzy, toteż nie raziła ich kiepska niemczyzna naszych oficerów, przeważnie Królewaków, bo ich niemczyzna nie była wiele lepsza, ale cały „fason” prysł, kiedy Austriacy wsiedli na swoje sparszywiałe konie. Nędznie wtedy wyglądali, toteż odjechali z pewnym zażenowaniem, które wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zobaczyli stojącą z boku naszą baterię z pięknymi końmi, doskonale utrzymanymi.

Pozycja, którą Austriacy zajmowali od paru miesięcy, była urządzona wcale wygodnie. Położona była w ten sposób przy drodze wiodącej w stronę frontu, że

stanowiska armat były po jednej stronie drogi, a za nimi, z drugiej strony, były ziemianki obsługi, po jednej dla każdej armaty. Za ziemiankami był rodzaj dziedzińca, na którym odbywały się zbiórki baterii, przeglądy koni itp. Dziedziniec był dookoła zabudowany ziemiankami, względnie domkami takimi jak mieszkania oficerów. Wszystkie były pięknie zrobione z brzoźowego drewna – kuchnia, prowiantura, kuźnia i stanowisko przodków. Jeden bok dziedzińca stanowiła długa szopa, stanowiąca stajnię, którą zaraz na wstępie spaliliśmy, aby nie rozszerzać parchów. Takie urządzenie pozycji i całe życie, jakie się tam wiodło, było możliwe tylko dzięki temu, że w tamtym czasie lotnictwo odgrywało jeszcze bardzo małą rolę, a poza tym ten odcinek frontu był w ogóle dosyć spokojny.

Wobec tego, że zostaliśmy bez stajni, nasze konie odesłano do Serechowa, gdzie miały stać aż do czasu postawienia przez nas nowej stajni. Zapomniałem napisać, że w tym czasie należałem już do obsługi, a nie do koniowodnych, i byłem numerem trzecim (ładowniczym) względnie czwartym (zamkowym) i funkcje te pełniłem na zmianę z Włodkiem Dzisiejewskim. Gdyby nie to, byłbym musiał jako koniowodny odejść wraz z końmi do Serechowa. Ponieważ ziemianki obsługi były mocno zawzzone, zostało postanowione, że zajmujemy je dopiero po ich zdezynfekowaniu, a środki do tego mieliśmy dostać dopiero nazajutrz, po objęciu pozycji, a więc drugą noc z rzędu przyszło nam spędzić na dworze. Pościeliliśmy sobie jedliną na śniegu, pozawijali się we wszystkie koce i w ogóle we wszystko, co tylko było możliwe, i tak spędziliśmy tę drugą już noc na mrozie. Szczęśliwie nawet nikt się nie przeziębził. Nazajutrz wstaliśmy dość skostniałi i wzięliśmy się zaraz do uszczelniania drzwi i okien w ziemiankach, aby je wykadzić. Odbyło się to przy pomocy świec dymnych, wydzielających gryzący dym siarkowy. Po paru godzinach takiego gazowania ziemianki były oczyszczone z insektów i tego wieczora wprowadziliśmy się do nich. Z rozkoszą też siedliśmy dookoła małego blaszanego piecyka stojącego na środku ziemianki i po trzech dniach i dwóch nocach spędzonych na mrozie zaznaliśmy wreszcie błogiego uczucia ciepła.

Niewielka ziemianka była przeznaczona na mieszkanie dla ośmiu ludzi. Wyglądała jak na tym szkicu poniżej.



Była wkopana do połowy w ziemię, a w połowie sterczała ponad ziemią. Cała konstrukcja z belek była pokryta dość grubo ziemią i darnią, więc z daleka wyglądała jak niewielki kopczyk ziemi. Najpierw spałem na jednej pryczy z Leichtfriedem, ale ponieważ strasznie się w nocy rozpychał, postarałem się o zmianę towarzysza i potem spałem z Włodkiem Dzisiewskim. Zaczęło się normalne życie pozycyjne. Obsługa musiała być zawsze gotowa, by wyskoczyć do armat. Jeden oficer, jeden zwiadowca i jeden telefonista pełnili stale służbę na punkcie obserwacyjnym, w okopach.

Pierwszym zadaniem, jakie obsługa dostała do wykonania, było wybudowanie nowej stajni. Ponieważ dookoła pozycji był las, więc zadanie polegało na tym, aby rznąć długie i proste sosny, obrabiać je i zwozić naszymi końmi na miejsce. Tam obrabiało się drzewo dokładniej i wznosiło się ściany stajni. Stajnia miała być wielką szopą, która miała pomieścić ponad 100 koni, była to więc duża robota. Nasz dowódca pilił nas o to, aby budowa stajni szła jak najszybciej, a uważał, że praca idzie zbyt wolno. Znalazł też na nas sposób, z którego wynikła cała awantura. W tym czasie z Krakowa nadeszły bowiem do nas paczki świąteczne od Ligi Kobiet (tzw. „ligawek”)¹⁵, ale paczki były spóźnione, bo dostarczono je do nas dopiero po świętach, a do naszych pozycji właśnie dotarły w parę dni po zajęciu przez nas pozycji pod Serechowem. Okoliczność tę wyzyskał por. „Kownacki” i aby nas zachęcić do pracy przy budowie stajni, ogłosił, że paczki będą wydane dopiero po ukończeniu stajni. Wywołało to oburzenie i skutek wręcz odwrotny. Odpowiedzieliśmy przez naszych podoficerów, że paczki powinny być wydane zaraz, gdyż były to paczki świąteczne, więc i tak są już spóźnione, poza tym ich ofiarodawczynie nie robiły żadnych zastrzeżeń co do tego, jak mają być wydawane, a na koniec, że budowa stajni nie ma nic wspólnego z wydawką paczek, więc te rzeczy nie mogą być łączone. W końcu powiedzieliśmy, że jeżeli paczki zaraz nie zostaną wydane, to później nie przyjmujemy ich w ogóle. Zrobiła się awantura! „Kownacki” się wściekł i powiedział, że to jest bunt, który on złamie wszelkimi sposobami. Między nami powstała konsternacja i rozłam. Drugi pluton chciał iść na ugodę, pierwszy pluton stał twardo przy swoim. Ta różnica polegała na tym, że w II plutonie było więcej ludzi starszych i prostych, a w I plutonie więcej młodych inteligentów, pewnych swej racji. Prawdę mówiąc, ośrodkiem opozycji w I plutonie była załoga pierwszej armaty, a w niej główną sprężyną był Ludwik Ciba. Nasz kapral Kłosowicz był w rozterce z własnym sumieniem. Z jednej strony uważał, że w żadnym razie nie powinniśmy sprzeciwiać się woli dowódcy baterii,

¹⁵ Liga Kobiet została założona w 1913 r. przez Izabelę Moszczeńską. Podczas I wojny światowej jej członkinie zbierały dary dla żołnierzy, szyły, gotowały, odwiedzały rannych w szpitalach.

a z drugiej – nie mógł odmówić słuszności naszym argumentom. W naszej ziemiance odbywały się główne rozmowy, w których zapadały decyzje w sprawie postępowania całej baterii. W czasie tych zebrań, w których brali udział delegaci ze wszystkich ziemianek, zawsze przemawiał Ciba, gestykulując z zapalem i przesuwając sobie czapkę w czasie mówienia gwałtownymi ruchami to na tył głowy, to znów na oczy.

„A cóż, do cholery – mówił – jakie prawo mają oni, nasi oficerowie, aby nam zatrzymywać paczki, które są nasze!? Jakby pobożne paniusie z Krakowa dowiedziały się, że ich paczki leżą, a my ich nie dostajemy, toby je nagła krew zalała i miałyby rację! Więc albo dadzą nam paczki od razu, a jak nie, to pies im mordę lizał, nie bierzemy paczek wcale!”. „Nie bierzemy!” – krzyknęliśmy zwartym chórem, aż się ziemianka zatrzęsała. Po chwili milczenia odezwał się spokojny głos kan. Stawskiego z II plutonu, 35-letniego chłopca, który przyjechał do Legionów aż z Ameryki, a znany był z tego, że był rudy, a farbował sobie włosy na czarno. „Obywatele – mówił pojednawczo – we wszystkim, co mówicie, macie rację, ale myślę sobie, czy to warto robić awanturę o to, czy dostaniemy tę paczkę parę dni wcześniej czy później? Za parę dni stajnie będą gotowe i wtedy paczki dostaniemy, a jeśli teraz postawimy sprawę tak, jak to stawia obywatel Ciba, to paczek w ogóle nie dostaniemy. A szkoda! Są tam podobno rękawiczki ciepłe, jakieś szale, swetry itp.”. „To nie dostaniemy!” – krzyknął zapalczywie Ciba. „Patrzcie go, lis farbowany, psiakrew!” – zawołał zawsze gotowy do zwady mały Dżisiewski. Zrobił się tumult, który byłby się skończył niewątpliwie bójką, gdyby nie interwencja Kłosowicza i Ludwika Wasilewskiego z II plutonu. Wasilewski był studentem ostatniego roku chemii Politechniki Lwowskiej. Był poważny, spokojny i nie lubił się z czupurnym Włodkiem Dżisiewskim (po wojnie Wasilewski skończył Politechnikę i był jednym z bliższych współpracowników prezydenta Mościckiego). Na ten raz bójki się uniknęło, ale rozłam między pierwszym a drugim plutonem zarysował się wyraźniej.

Tymczasem „Kownacki” nie robił sobie nic z tego, co się działo w baterii, i trwał przy swoim: jak stajnia będzie gotowa – paczki będą wydane. Minęło jeszcze z dziesięć dni intensywnej pracy, w czasie której oficerowie stali nam nad głowami od rana do nocy, i wreszcie stajnia została wykończona. Nazajutrz miały być wydane paczki. Pierwszy pluton odmówił stanowczo, drugi wahał się. Skorzystał z tego dowódca baterii i wezwał do siebie działonowych II plutonu. Byli nimi kaprale Dąbek i Aleksiewicz. Dąbek, chłop prosty, około 30-letni, ospowaty, z czarnym zawieszistym wąsem, służył cztery lata jako jezdny w artylerii rosyjskiej w czasie pokoju, był żołnierzem z krwi i kości. Aleksiewicz, półinteligent z Małopolski, miał więcej sprytu niż charakteru, toteż wynik wizyty był łatwy

do przewidzenia. Kaprale, zobaczywszy zawartość paczek, oświadczyli w imieniu swoich ludzi, że gotowi są je przyjąć, ale por. „Kownackiemu” zależało, aby to zrobił także I pluton. Tymczasem do I plutonu nie było dostępu żadną miarą. Nasz kapral Kłosowicz byłby niewątpliwie poszedł najchętniej za przykładem Dąbka, bo z typu żołnierza był całkiem do niego podobny, ale przeciw sobie miał niezłomną wolę całej armaty. Działonowym drugiej armaty był kapral Kisielewski, inteligent, który stał całkowicie po naszej stronie i można było na nim polegać. Nasz dowódca plutonu, ppor. Wąsowicz, stał sercem po naszej stronie, ale nie wypadało mu jako oficerowi działać przeciwko dowódcy baterii, więc nie mieszał się do sporu, stojąc na uboczu.

Wreszcie przyszedł dzień wydawania paczek. Dowódca baterii spytał nas po raz ostatni przez ogniomistrza, czy przyjmujemy paczki. Na naszą stanowczą odmowę zarządził zbiórkę całej baterii. Wyszliśmy podnieceni i niespokojni. Jak zwykle ustawiliśmy się w wyrównanym dwuszeregu. Ze swego brzozowego domku wyszedł por. „Kownacki”. Zbliżał się do nas w pięknej, zielonej świtce¹⁶, lamowanej czarnymi karakulami. Odebrał raport, potem wsadził ręce w kieszenie szuby, stanął w rozkroku i powiedział do nas takimi mniej więcej słowami:

„Szlachetna młodzieży polska, jebałże was pies. I wy chcecie się uważać za przyszłą armię polską, za kadry sławnego wojska polskiego!? Wy, którzy zaczynacie od buntu swoją służbę w pierwszych latach młodości? – wołał, patrząc wyraźnie w stronę I plutonu, stojącego na prawym skrzydle baterii. – Wy, którzy macie mleko pod nosem, próbujecie zdemoralizować starych żołnierzy!? Ale uprzedzam was, zasraną inteligencję, że to się wam nie uda! Pierwszy pluton odmówił przyjęcia paczek. To nie szkodzi! Będzie więcej dla wszystkich innych. Dziękuję tym wszystkim, którzy swoją pracowitością i wytrwałością przyczynili się do szybkiego wykończenia stajni. Zaraz po zbiórce odbędzie się rozdanie paczek. Ogniomistrz Jastrzębiec pokieruje rozdziałem. Baczność! Rozejść się!”

My, I pluton, odeszliśmy prosto do naszych ziemianek, aby nie patrzeć, jak reszta bierze paczki. Przyznam się, że było nam trochę głupio, mimo że byliśmy przekonani o tym, że mamy rację. Ciba wsadził ręce w kieszenie, czapkę zsunął na oczy i mruczał pod nosem: „Zasrana inteligencja! Szlachetna młodzieży polska, jebałże was pies! Niech sobie gada, a my i tak postawiliśmy na swoim! Niech się drugi pluton udławi tymi paczkami, niech ich cholera weźmie!” Potem rzucił się na swoją prycę i my też posiadaliśmy na swoich miejscach. W ziemiance zaległa cisza. Na tym skończyła się historia paczkowa. Pozostałością po niej była tylko długotrwała nieufność i niechęć między pierwszym a drugim plutonem.

¹⁶ Wierzchnia odzież chłopska o długich rękawach i z grubego materiału.



Tadeusz Saryusz Bielski jako legionista



Artyleria legionowa na pozycji



Ppor. Tadeusz Saryusz Bielski – Wilno, 12 IX 1919



Ppor. Tadeusz Saryusz Bielski – fotografia wykonana po otrzymaniu
Krzyża Srebrnego Orderu Virtuti Militari – 3 VIII 1921